

Jan Związek

Wspomnienia ks. Józefa Pruchnickiego o pracy duszpasterskiej w powiecie wieluńskim w okresie okupacji hitlerowskiej

Rocznik Wieluński 6, 113-145

2006

Artykuł został opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

ŹRÓDŁA

Ks. Jan Związek

WSPOMNIENIA KS. JÓZEFA PRUCHNICKIEGO O PRACY DUSZPASTERSKIEJ W POWIECIE WIELUŃSKIM W OKRESIE OKUPACJI HITLEROWSKIEJ

1. Wprowadzenie

Upływa ponad 60 lat od wybuchu II wojny światowej i okupacji hitlerowskiej na polskiej ziemi. Terror hitlerowski spowodował ogromne straty w polskim społeczeństwie, jak i w stanie materialnym Polski. Władze nazistowskie z nienawiścią działały przeciwko Kościołowi katolickiemu na ziemiach polskich, w tym również na ziemi wieluńskiej. Mimo upływu wielu lat ciągle powracają wspomnienia hitlerowskiego okresu terroru i eksterminacji polskiej ludności; niestety, świadków tamtych wydarzeń żyje do chwili obecnej coraz mniej. Okupacyjne dzieje ziemi wieluńskiej coraz częściej stają się przedmiotem zainteresowań historyków, którzy odnajdują dokumenty, ukazujące obraz ówczesnego życia społeczeństwa w warunkach okupacyjnych. Źródłowe opracowania prof. Tadeusza Olejnika i członków Wieluńskiego Towarzystwa Naukowego przedstawiają okupacyjną działalność władz hitlerowskich na ziemi wieluńskiej i bezmiar zniszczeń na tych terenach¹.

¹ J. Pietrzykowski, *Hitlerowcy w powiecie częstochowskim 1939–1945*, Katowice 1972; J. Związek, *Straty diecezji częstochowskiej w okresie okupacji hitlerowskiej (1939–1945)*, „Częstochowskie Studia Teologiczne”, t. 2: 1974, s. 315–366; tegoż, *Martyrologium kapłanów diecezji częstochowskiej w czasie II wojny światowej*, „Częstochowskie Studia Teologiczne”, t. 4: 1976, s. 185–300; T. Olejnik, *Szpital w Wieluniu. Jego dzieje i zniszczenie 1 IX 1939*, Wieluń 1991; tegoż, *Wieluń. Zniszczenie miasta. Destruction of the town 1 IX 1939*, Wieluń 1999; J. Związek, *Aresztowanie i męczeństwo kapłanów ziemi wieluńskiej w okresie okupacji hitlerowskiej*, „Rocznik Wieluński”, t. 2: 2002, s. 5–36; H.J. Karp, *Stanowisko Stolicy Apostol-*

W proces poznawania przeszłości ziemi wieluńskiej w okresie okupacji hitlerowskiej, przede wszystkim w zakresie kościelnym, wpisują się odnalezione *Wspomnienia* ks. Józefa Pruchnickiego, który w początkowych dwóch latach okupacji był proboszczem w parafii Mokrsko, a od października 1941 r. duszpasterzem w jedynej na Wieluńszczyźnie, pozostawionej przez Niemców, parafii Ruda. *Wspomnienia* ks. Pruchnickiego bez wątpienia były napisane pod sugestią biskupa częstochowskiego, Zdzisława Golińskiego, który od początku swojej działalności w Częstochowie zwracał uwagę na gromadzenie wszelkich dokumentów, dotyczących przeszłości diecezji. Wcześniej przeprowadzono ankietę w sprawie strat personalnych i materialnych w okresie II wojny światowej na terenie diecezji. Konieczność gromadzenia wszelkich źródeł dokumentujących historię diecezji biskup podkreślał w artykule *O formowaniu materiałów do historii diecezji*². Wśród innych materiałów, także wspomnienia z tragicznego dla Polski okresu totalnego zniewolenia mają znaczenie dokumentu. Dwaj duszpasterze, pracujący w jedynej na cały powiat wieluński czynnej parafii w Rudzie, ks. Józef Pruchnicki i ks. Józef Kubica – są autorami wspomnień o posłudze kapłańskiej w tamtych czasach. *Wspomnienia* ks. Pruchnickiego, przekazane w formie rękopisu biskupowi Golińskiemu, włączono do zbiorów Archiwum Kościelnego na Jasnej Górze, będących pod opieką ówczesnego archiwariusza ks. dr. Walentego Patykiewicza. Z rękopiśmiennego tekstu sporządzono kilka odpisów maszynowych. Ilość egzemplarzy maszynopisu *Wspomnień* z upływem lat ustawicznie się zmniejszała. Podczas inwentaryzowania w początkach lat osiemdziesiątych akt personalnych zmarłych kapłanów diecezji częstochowskiej autor niniejszego artykułu odnalazł jeden egzemplarz *Wspomnień*, z którego dokonał odpisu z myślą, że w przyszłości go opublikuje. Niestety, upłynęło wiele lat i dopiero dzięki życzliwości prezesa WTN, prof. Tadeusza Olejnika, zamysł ten może być zrealizowany, za co w tym miejscu wyrażam słowa prawdziwej wdzięczności.

Fakty i wydarzenia opisane we *Wspomnieniach* mogą być zrozumiałe dopiero na tle wojennych dziejów ziemi wieluńskiej i dlatego we wstępie przedstawiono sytuację ludności polskiej i Kościoła katolickiego w ziemi wieluńskiej (wojenny

skiej oraz Episkopatu Niemiec wobec prześladowań duchowieństwa przez Niemcy hitlerowskie, „Rocznik Wieluński”, t. 2: 2002, s. 37–50; T. Olejnik, *Wieluń. Polska Guernica*, Wieluń 2004; tegoż, *Wieluń. Dzieje miasta 1793–1945*, Piotrków Trybunalski 2003, s. 495–591; tegoż, *Gmina Mokrsko w latach okupacji hitlerowskiej (1939–1945)*, [w:] *Monografia gminy Mokrsko*, pod red. T. Olejnika, Wieluń 2004, s. 357–387; *Wieluń miastem pokoju i pojednania. Centralne obchody 65. rocznicy wybuchu II wojny światowej i dnia weterana 1 września 2004 r.*, pod red. B. Abramka i J. Książka, Kielce 2004.

² Z. Goliński, *O formowaniu materiałów do historii diecezji*, „Częstochowskie Wiadomości Diecezjalne”, R. 33: 1959, s. 24–25.

Kreis Welun). Ta część artykułu będzie aktualna także w wypadku, gdyby zdecydowano się na opublikowanie *Wspomnień* drugiego duszpasterza w Rudzie, ks. Józefa Kubicy, oraz wspomnień z obozu koncentracyjnego w Dachau ks. Aleksandra Konopki. Początkowo autor miał zamiar podać w przypisach wiadomości o miejscowościach wymienionych we *Wspomnieniach*, ale doszedł do przekonania, iż wcześniej uczynił to w swoich opracowaniach doc. dr Ryszard Rosin³ i byłyby to tylko powtórzenia informacji już opublikowanych. Niemniej jednak w niektórych wypadkach takie wyjaśnienia były konieczne, zwłaszcza w odniesieniu do zaistniałych faktów i wymienionych osób.

2. Pod hitlerowskim jarzmem w powiecie wieluńskim

Od czasów średniowiecznych o posiadanie ziemi wieluńskiej toczyli uporczywe walki książęta dzielnicowi. Największe niebezpieczeństwo zagrażało ziemi wieluńskiej oraz skrawkom ziemi krakowskiej i sieradzkiej ze strony księcia Władysława Opolczyka. Król polski Ludwik Węgierski przekazał te ziemie w lenno Opolczykowi, który na tym terenie zaprowadził administrację i ustrój właściwy dla ówczesnego Śląska Opolskiego, należącego do Czech. Dopiero dzięki zdecydowanym działaniom króla Władysława Jagiełły ziemie zagarnięte przez Opolczyka powróciły do Korony⁴. W czasach nowożytnych w okresie niewoli narodowej władze pruskie zagarnęły te ziemie, prowadząc systematycznie dzieło germanizacji. Na mocy traktatu zawartego w dniu 23 I 1793 r. w Petersburgu pomiędzy Prusami i Rosją dokona się drugi rozbiór, a ziemia wieluńska wraz z jej centrum, jakim było miasto Wieluń, znalazła się pod dominacją pruską w prowincji Prusy Południowe⁵. Podczas pobytu Fryderyka Wilhelma II na Jasnej Górze w Częstochowie w dniach 28–30 października 1793 r. wśród witających i goszczących króla pruskiego był starosta wieluński Stanisław Męciński⁶. Po wojnach napoleońskich i Kongresie Wiedeńskim ziemia wieluńska znalazła się w Księstwie Warszawskim, a potem w Królestwie Polskim. Mimo obcych rządów w okresie niewoli narodowej kazimierzowski zamek w Wieluniu i średniowieczna kolegiata wieluńska były symbolem polskości oraz znaczenia

³ R. Rosin, *Słownik historyczno-geograficzny ziemi wieluńskiej w średniowieczu*, Warszawa 1953.

⁴ J. Długosz, *Roczniki czyli kroniki sławnego Królestwa Polskiego*, pod red. K. Sieradzkiej, Warszawa 1981, księga X, s. 280–281; K. Popiołek, *Historia Śląska od pradziejów do 1945 roku*, Katowice 1972, s. 53–54.

⁵ J. Wąsicki, *Ziemie polskie pod zaborem pruskim. Prusy Południowe 1793–1806. Studium historyczno-prawne*, Wrocław 1957, ss. 130, 248, 300; T. Olejnik, *Przeszość administracyjna ziemi wieluńskiej*, Wieluń 1996, s. 19; tegoż, *Wieluń. Dzieje miasta...*, ss. 11, 19.

⁶ *Diariusz bytności najjaśniejszego króla IMCI pruskiego na Jasnej Górze Częstochowskiej roku pańskiego 1793-go*, wyd. D. Złotowski, [w:] *Teksty źródłowe do dziejów regionu częstochowskiego*, pod red. A.J. Zakrzewskiego, Częstochowa 1994, z. 1, s. 25–26.

Wielunia i ziemi wieluńskiej w czasach I Rzeczypospolitej. W ciągu minionych stuleci rozległa kasztelania rudzka, a potem wieluńska, była pierwszym bastionem obronnym przeciwko najeźdźcom spoza zachodniej granicy, który powstrzymywał na sobie uderzenia nieprzyjacielskie, broniąc niepodległości mieszkańców tej ziemi.

Na tym terenie, leżącym bezpośrednio przy granicy z Prusami, zawsze występowało zjawisko germanizacji. Po drugim rozbiórce Polski proces germanizacji na terenach przygranicznych nie napotykał na żadne przeszkody. W okresie rządów króla pruskiego Fryderyka Wilhelma III (1797–1840) władze pruskie, popierając dzieło germanizacji, przeznaczyły dla każdej rodziny kolonistów niemieckich osiedlających się na ziemiach polskich sumę 1000 talarów⁷. Grupy kolonistów niemieckich osiedlały się w miejscowościach zamieszkałych przez ludność polską lub zajmowali tzw. pustkowia, na których zakładali własne osady zwane koloniami. Dzieci niemieckie uczęszczały do polskich szkół elementarnych, a w miejscowościach gdzie przeważał ludność niemiecka, koloniści zakładali własne szkoły z niemieckim językiem nauczania, ale pod nadzorem polskich władz szkolnych⁸. O obecności kolonistów niemieckich najczęściej świadczyły adnotacje kościelne o liczbie wyznawców protestantyzmu w danej miejscowości, chociaż i polskie rodziny czasami były tego wyznania. W ziemi wieluńskiej ewangelicy posiadali swoją świątynię (od 20 VI 1820 r. w dawnym klasztorze Sióstr Bernardynek), a Siostry Bernardynki umieszczono w dawnym klasztorze Ojców Paulinów w Wieluniu na Krakowskim Przedmieściu. Druga świątynia ewangelicka na ziemi wieluńskiej istniała we wsi Krzeczów. Liczba ewangelików na tych terenach była stosunkowo mała⁹. W ogromnej większości mieszkańcy Wielunia i okolicznych miejscowości byli wyznania rzymskokatolickiego. W okresie II Rzeczypospolitej, po utworzeniu diecezji częstochowskiej (28 X 1925 r.), Wieluń i ziemia wieluńska znalazły się w granicach nowej diecezji¹⁰.

W okresie międzywojennym miasto Wieluń stanowiło centrum władz administracyjnych – samorządowych i powiatowych. Naczelnym organem władzy samorządowej była Rada Miejska, wybierana na okres 3 lat. Urząd Miejski posiadał swoją siedzibę w ratuszu. Współpraca władz miejskich z instytucjami kościelnymi układała się pozytywnie, czego wyrazem był fakt, iż miejscowy

⁷ Z. Kaczmarczyk, *Kolonizacja niemiecka na wschód od Odry*, Poznań 1945, s. 182–183.

⁸ J. Związek, *Niemieckie dzieci w polskich szkołach elementarnych w regionie częstochowskim (1793–1834)*, [w:] *Spoleczność protestancka w ziemi lipskiej w XVIII–XX wieku*, pod red. Z. Jakubowskiego, Lipie 1996, s. 67–106.

⁹ T. Olejnik, *Wieluń. Dzieje miasta...*, s. 62.

¹⁰ J. Związek, *Dzieje diecezji częstochowskiej w II Rzeczypospolitej*, Częstochowa 1990, s. 30–41.

proboszcz, ks. prałat Wincenty Przygodzki, był wiceprzewodniczącym Rady Miejskiej na mocy decyzji z 26 IV 1926 r., chociaż mandatu radnego zrzekł się w 1929 r.¹¹ Nadto w Wieluniu był Sąd Pokoju, przekształcony w dniu 1 I 1929 r. w Sąd Grodzki. Bezpieczeństwa w mieście i powiecie strzegła policja (Komen-da Powiatowa Policji Państwowej). Wraz z rozwojem miasta wzrastała także liczba ludności, która według spisu z 9 grudnia 1931 r. wynosiła 13 409 mieszkańców¹².

Wieluń był miastem, w którym w okresie II Rzeczypospolitej istniały liczne instytucje kościelne. Przede wszystkim istniała tutaj dawna kolegiata, mimo że nie została jeszcze wskrzeszona kapituła kolegiacka. Był tu także urząd dziekański, a dziekan ks. Wincenty Przygodzki nie tylko czuwał nad sprawami religijnymi w dekanacie wieluńskim, ale jako komisarz biskupi sprawował nadzór nad życiem religijnym duchowieństwa i wiernych w całej ziemi wieluńskiej. Obok dawnej kolegiaty był klasztor i kościół Księży Misjonarzy, przy którym był nowicjat tego Zgromadzenia. W centrum miasta znajdował się kościół popijarski i dawne zabudowania klasztorne; w kościele popijarskim odbywały się nabożeństwa szkolne. Na Krakowskim Przedmieściu posiadały swój klasztor i kościół Siostry Bernardynki, w północnej części miasta był klasztor i kościół Ojców Franciszkanów – Reformatów. Ewangelicy mieli swoją świątynię w centrum miasta. Istniała także synagoga żydowska dla ludności wyznania Mojżeszowego, która stanowiła około jedną trzecią ogółu mieszkańców miasta. W Wieluniu działały liczne szkoły powszechne i średnie. Najbardziej znane, to Męskie Gimnazjum im. Tadeusza Kościuszki i Żeńskie Gimnazjum Pelagii Zasadzińskiej. Męskie Gimnazjum od 1932 r. należało do diecezji częstochowskiej, reprezentowanej przez biskupa częstochowskiego; na skutek licznych trudności, zwłaszcza natury materialnej, od władz samorządowych przejęła je diecezja. Z tego powodu często było nazywane Gimnazjum Biskupim. Do wymienionych szkół średnich uczęszczała młodzież z Wielunia oraz z całej ziemi wieluńskiej. Nauczyciele wieluńscy współpracowali ze sobą, prowadząc zajęcia szkolne w różnych szkołach. Prefekt Męskiego Gimnazjum, ks. Maksymilian Binkiewicz, sprawował duszpasterstwo dla młodzieży szkolnej w kościele św. Józefa (popijarskim)¹³. W Wieluniu i okolicy dobrą sławą cieszył się szpital powiatowy, położony w południowej części miasta. Dla mieszkańców miasta i regionu ważnym wydarzeniem w życiu religijnym był III Diecezjalny Kongres Eucharystyczny, który odbył się w dniach 27–29 czerwca 1931 r. w Wieluniu.

¹¹ T. Olejnik, *Wieluń. Dzieje miasta...*, s. 253–263.

¹² Tamże, s. 279.

¹³ J. Związek, *Niższe seminaria duchowne diecezji częstochowskiej*, „Częstochowskie Studia Teologiczne”, t. 2: 1974, s. 201–218; tegoż, *Dzieje niższego seminarium duchownego w Częstochowie*, Częstochowa 2002, s. 16–34.

W uroczystościach kongresowych uczestniczył także prymas Polski, kardynał August Hlond, i liczni biskupi. Kongres pozostał długo w pamięci katolików ziemi wieluńskiej¹⁴.

W końcu lat 30. ubiegłego wieku coraz częściej docierały do społeczeństwa polskiego niepokojące wiadomości zza zachodniej granicy Polski. Wydarzenia w okresie miesięcy letnich 1939 r., a zwłaszcza w sierpniu, jednoznacznie świadczyły o zbliżającej się wojnie. Transporty wojskowe, kierujące się nad granicę z Niemcami, potwierdzały te niepokojące wieści. Obronę polskich granic na tym odcinku stanowiła „Armia Łódź”, dowodzona przez generała Juliusza Rómmla. W dniu 1 września 1939 r. z lotniska pod Opolem wystartowało 29 samolotów niemieckich w kierunku Wielunia. Nad miastem pojawiły się godz. 5 min. 35 czasu niemieckiego. Zrzucone bomby zamieniły miasto w ruiny. Dzieła zniszczenia dopełniły niemieckie myśliwce, które z broni pokładowej zabijały kobiety, starców i dzieci. Naloty niemieckich samolotów powtarzały się kilkakrotnie. Zginęło w tym dniu ok. 1200 mieszkańców Wielunia. Zbombardowany szpital i kolegiata wieluńska stały się symbolem barbarzyństwa hitlerowskiego. Dzieła zniszczenia dokończyły wkraczające oddziały Wehrmachtu. Pożary i zgliszcza znaczyły przejścia wojsk hitlerowskich, rozstrzeliwano ludność cywilną, zwłaszcza tam, gdzie napotkano na bohaterską obronę polskich żołnierzy¹⁵. Wiele miasteczek i wsi zostało całkowicie spalonych. Taki sam los spotkał świątynie katolickie i polskich duchownych. W dniu 2 września bestialsko zamordowano trzech kapłanów – ks. Ignacego Charlińskiego z Działoszyna oraz ks. Bonawenturę Metlera, znanego astronoma, a także ks. Józefa Daneckiego z Parzymiech oraz organistę Władysława Sobczaka. W dniu 3 września żołnierze niemieccy spalili 3 kościoły – w Brzeźnicy Starej, Mieleszynie i Sokolnikach¹⁶. Pod rządami wojskowymi Wehrmachtu panował nieznany dotychczas terror. Wieluń był widownią masowych rozstrzeliwań polskiej i żydowskiej ludności cywilnej, przeważnie na cmentarzu żydowskim. Podobne wydarzenia miały miejsce w innych miejscowościach na tym terenie¹⁷.

Na mocy dekretu Adolfa Hitlera z 8 X 1939 r. ziemie polskie podzielono pomiędzy Generalne Gubernatorstwo i tzw. Ziemie Wcielone do III Rzeszy. Ziemia wieluńska znalazła się na terenie tzw. Ziem Wcielonych do III Rzeszy, w Prowincji Poznań (Reichsgau Posen), od stycznia 1940 r. zwana Krajem Warthy (Wartheland). Absolutną władzę na tym terenie sprawował namiestnik Artur

¹⁴ M. Sikora, *Kongresy eucharystyczne diecezji częstochowskiej i ich znaczenie w życiu religijnym*, „Częstochowskie Studia Teologiczne”, t. 3: 1975, s. 108–109.

¹⁵ T. Olejnik, *Wieluń. Zniszczenie miasta...*, s. 8–12; tegoż, *Wieluń. Polska Guernica...*, s. 27; J. Pietrzykowski, *Hitlerowcy w powiecie częstochowskim...*, s. 14–24.

¹⁶ J. Związek, *Martyrologium kapłanów diecezji częstochowskiej...*, s. 204–205.

¹⁷ T. Olejnik, *Wieluń. Dzieje miasta...*, s. 534–535.

Greiser, który zgodnie z polityką Hitlera dążył do całkowitej eksterminacji polskiej ludności. W jednym ze swoich przemówień Greiser powiedział, że Hitler powierzył mu zadanie, aby „wytepił naród polski, by dzięki temu mógł żyć naród niemiecki”. Obszar tzw. Kraju Warty mieli zasiedlić Niemcy, dla których „Polska będzie tylko historycznym wspomnieniem”¹⁸. Tzw. Kraj Warty pod rządami Greisera miał być wzorcowym w dziele wyniszczania Polaków. Od początku jego rządów rozpoczęły się masowe wywożenia młodych Polaków w głąb Rzeszy na przymusowe roboty w przemyśle i rolnictwie. Na ziemiach polskich mieli pozostać jedynie starcy i dzieci, którzy w swojej własności mieli być jedynie „parobkami nowych gospodarzy”. Polacy utracili na rzecz osadników niemieckich gospodarstwa oraz wszelką własność nieruchomą i ruchomą, w tym domy mieszkalne i wszelkie zabudowania gospodarcze¹⁹. Jednocześnie rozpoczęła się systematyczna walka z polską kulturą i polskim językiem. Zamknięto wszystkie polskie szkoły, zakazano używania języka polskiego w urzędach, a urzędnikom zakazano rozpatrywania pism napisanych w języku polskim²⁰.

W takich warunkach znalazł się także Kościół katolicki w ziemi wieluńskiej (Kreis Welun). Władze nazistowskie traktowały Kościół jako organizację polską, którą należało zlikwidować. Trzeba było przeto usunąć polskich duchownych, a na ich miejsce sprowadzić duchownych niemieckich, zlikwidować wszelkie przejawy polskości w działalności kościelnej (usunąć język polski z nabożeństw) oraz ustanowić hierarchię niemiecką. Kościół katolicki od 1 września 1939 r. został pozbawiony osobowości prawnej prawa publicznego (od 13 IX 1941 r. nadano mu charakter zrzeszenia religijnego jako osoby prawnej prawa prywatnego). Kościół na tzw. Ziemiach Wcielonych podzielono na Kościół katolicki dla katolików narodowości niemieckiej i Kościół katolicki dla katolików narodowości polskiej²¹. Program walki z Kościołem katolickim na terenie tzw. Kraju Warty został ogłoszony przez namiestnika w dniu 14 III 1940 r. w 13 punktach. W świetle tego programu działalność kościelna miała być zamknięta wyłącznie w murach świątyni, Kościół pozbawiony wszelkiej własności powinien się utrzymywać jedynie ze składek swoich wyznawców, miał być wprowadzony zakaz nauczania religii, planowano zamknięcie wszystkich zakonów²². W tym

¹⁸ Cz. Łuczak, „Kraj Warty” 1939–1945. Studium historyczno-gospodarcze okupacji hitlerowskiej, Poznań 1972, s. 10–11; tegoż, Artur Greiser – hitlerowski władca w Wolnym Mieście Gdańsku i w Kraju Warty, Poznań 1997, s. 65–66; T. Olejnik, Wieluń. Dzieje miasta..., s. 533.

¹⁹ E. Serwański, Wielkopolska w cieniu swastyki, Warszawa 1970, ss. 153–160, 239–241.

²⁰ Cz. Łuczak, Artur Greiser – hitlerowska władca..., s. 78–79.

²¹ J. Szyling, Polityka okupanta hitlerowskiego wobec Kościoła katolickiego 1939–1945. Tzw. okręgi Rzeszy: Gdańsk – Prusy Zachodnie, Kraj Warty i regencja Katowice, Poznań 1970, s. 118–119.

²² Tamże, s. 44–46; K. Śmigiel, Walka władz hitlerowskich z katolickim kultem religijnym na terenie archidiecezji gnieźnieńskiej w latach 1939–1945, [w:] Studia Historyczne, pod red.

czasie hitlerowcy systematycznie niszczyli krzyże i kapliczki przydrożne jako świadectwa kultu religijnego.

Dekret Hitlera z 8 X 1939 r. podzielił kordonami granicznymi diecezję częstochowską. Zachodnia i południowa część diecezji znalazła się w granicach tzw. Ziem Wcielonych do Rzeszy w prowincjach Wartheland i Oberschlesien. Natomiast północno wschodnia część diecezji wraz z Częstochową pozostała w Generalnym Gubernatorstwie²³. Sytuacja Kościoła w tzw. Kraju Warty była bardzo trudna. O tym fakcie informował papieża Piusa XII kardynał Adolf Bertram z Wrocławia pismem z 14 IV 1941 r. Biskup wrocławski prosił Stolicę Apostolską o interwencję, bowiem istnienie Kościoła katolickiego na tym terenie było



Powiat wieluński w latach okupacji hitlerowskiej 1939–1945 (na podstawie T. Olejnik, *Prześlność administracyjna ziemi wieluńskiej*, Wieluń 1996).

M. Żywczyńskiego i Z. Zielińskiego, Lublin 1968, t. 2, s. 302–308; tegoż, *Kościół katolicki w tzw. Okręgu Warty 1939–1945*, Lublin 1979, s. 44–45.

²³ J. Związek, *Straty diecezji częstochowskiej w okresie okupacji hitlerowskiej...*, s. 222–228; tegoż, *Aresztowanie i męczeństwo kapłanów ziemi wieluńskiej...*, s. 7–10; Cz. Tomczyk, *Diecezja częstochowska w latach okupacji hitlerowskiej 1939–1945*, [w:] *Studia z historii Kościoła w Polsce*, pod red. H.E. Wyczawskiego, Warszawa 1978, t. 4, s. 268–270.

bardzo zagrożone. W dniu 17 VIII 1941 r. pismo o podobnej treści skierował do Stolicy Apostolskiej nuncjusz apostolski w Berlinie – Orsenigo – podkreślając, że katolicy w Kraju Warty są dyskryminowani, praktyki religijne utrudnione bądź zakazywane, a zakony prześladowane²⁴.

W powiecie wieluńskim z czasów okupacji, którego terytorium powiększono w stosunku do przedwojennego powiatu wieluńskiego o części powiatów radomszczańskie i piotrkowskie, były realizowane wszystkie zarządzenia antypolskie i antykościelne. W granicach nowego powiatu wieluńskiego znalazły się 62 parafie i 87 duchownych diecezjalnych. Nadto w klasztorach Księży Misjonarzy i Ojców Franciszkanów – Reformatorów przebywało 13 kapłanów, 6 nowicjuszy i 14 braci zakonnych²⁵. Według danych uzyskanych od proboszczów na tym terenie mieszkało 258 403 katolików. Władze okupacyjne w miejsce polskich urzędów powołały urzędy i urzędników niemieckich. Jedyne tak jak przed wojną pozostali na swych stanowiskach polscy kapłani, mimo że władze okupacyjne miały plany zastąpienia ich duchownymi niemieckimi. Jednakże polskich księży wypędzono z zabudowań plebańskich, pozbawiono gospodarstw rolnych; często musieli szukać mieszkania w domach prywatnych. Urzędnicy niemieccy odnosili się do polskich duchownych z lekceważeniem i pogardą, tak samo jak do polskiej ludności. W takich okolicznościach jeszcze bardziej pogłębiła się więź pomiędzy katolikami a duchownymi. W maju 1940 r. władze hitlerowskie zamordowały dwóch kapłanów – ks. Bolesława Stradowskiego z Czastar i ks. Jana Krawieckiego z Naramic, co było ostrzeżeniem dla pozostałych duchownych, iż jakkolwiek sprzeciw wobec władz hitlerowskich będzie najsurowiej karany. Mimo takich warunków biskup Kubina wzywał duchownych, aby trwali na swoich placówkach wśród polskiej ludności, dla której byli jedyną ostoją w wierze i polskości. Faktycznie, kapłani pozostali na swoich placówkach duszpasterskich, mimo że ucieczka z Kraju Warty była możliwa. Jedyne kilku księży, bezpośrednio zagrożonych więzieniem lub karą śmierci ratowało się ucieczką do Generalnego Gubernatorstwa.

Pierwszą akcją przeciwko polskim duchownym (i polskiej inteligencji) było aresztowanie kilku kapłanów 9 listopada 1939 r. Wśród aresztowanych znaleźli się: ks. Józef Bartecki z Przedmościa, ks. Władysław Derbis z Ostrówka Miedzna (przebywał na terenie powiatu wieluńskiego), ks. Bolesław Lis z Działoszyna, ks. Jan Massalski z Sokolnik, ks. Wincenty Przygodzki z Wielunia, ks. Franciszek Szuba z Konopnicy i ks. Wincenty Śliwiński z Ochędzyna. Aresztowano również pastora ewangelickiego z Wielunia ks. Henryka Wendta.

²⁴ *Le Saint Siege et la situation religieuse en Pologne et dans les pays baltes 1939–1945*, Citta del Vaticano 1967, t. 3, ss. 392, 426.

²⁵ *Katalog kościołów i duchowieństwa diecezji częstochowskiej na rok 1939*, Częstochowa 1939, ss. 47–57, 71–72, 85–90, 100–113.

Wybór duchownych był przypadkowy, przeprowadzona akcja miała charakter prewencyjny; władze okupacyjne chciały się zorientować jaka będzie reakcja społeczeństwa na takie represje. Aresztowanych przewieziono do Radogoszcza k. Łodzi i osadzono w więzieniu. Po kilku miesiącach, 15 stycznia 1940 r. otrzymali zwolnienie oraz nakaz opuszczenia Kraju Warty w ciągu 8 dni²⁶.

Polski zwierzchnik diecezji częstochowskiej rezydujący w granicach GG – biskup Teodor Kubina – nie mógł przekroczyć granicy tzw. Kraju Warty, by wypełniać tam swoje obowiązki pasterskie. W tych warunkach 1 VI 1940 r. biskup przekazał swoją władzę ks. praładowi Wincentemu Przygodzkiemu, a po jego przymusowej ucieczce z Wielunia – ks. Franciszkowi Wtorkiewiczowi w dniu 17 VIII 1941 r. O sytuacji duchownych i wiernych pisał do biskupa Kubiny ks. Stanisław Waclawik – wicedziekan dekanatu wieruszowskiego: „u nas atmosfera coraz przykrzejsza, żyjemy w ciągłych obawach (...). Zakomunikowano nam, że wszystkie krzyże i kapliczki, przynajmniej przy głównych drogach, zostaną zniszczone (...). Majątki mają być wszystkim odebrane. Każdy się boi (...). Serce boli, gdy się na to patrzy”²⁷.

Dekret Greisera z 13 IX 1941 r., pozbawiający Kościół katolicki w Kraju Warty osobowości prawa publicznego, stanowił podstawę do całkowitego likwidowania instytucji kościelnych oraz do działań przeciwko polskim duchownym. We wczesnych godzinach rannych (od godz. 3.00 do godz. 6.00) w dniu 6 X 1941 r. wszyscy kapłani w powiecie wieluńskim byli aresztowani. Czas doskonale wybrano, bowiem w przeddzień wypadła uroczystość Matki Boskiej Różańcowej, którą odprawiali księża we wszystkich parafiach. Urzędnicy niemieccy mieli pełne wiadomości o miejscach zamieszkania duchownych. Aresztowano nawet kapłanów chorych i w bardzo podeszłym wieku. Aresztowanym nakazano założyć ubrania cywilne i zabrać jedynie niezbędne rzeczy osobiste. Wszystkich przywieziono do urzędu gestapo w Wieluniu, a stąd do obozu przejściowego w Konstancynie k. Łodzi. W tym miejscu należy dodać, że w początkowych 2 latach okupacji kilku kapłanów ratowało się ucieczką z Kraju Warty, a kilku władze okupacyjne zmusiły do opuszczenia tych terenów, stąd liczba duchownych w 1941 r. była mniejsza niż na początku okupacji. Mimo czujności urzędników hitlerowskich 4 młodych księża uciekło podczas aresztowania, 2 duchownych Niemcy nie aresztowali (jeden posiadał obywatelstwo włoskie, a drugiego uratował wysoki urzędnik niemiecki), z obozu przejściowego w Konstancynie zwolniono 6 kapłanów chorych i starców (z zakazem pełnienia czynności kapłańskich), 55 kapłanów wywieziono do obozu koncentracyjnego w Dachau

²⁶ J. Związek, *Straty diecezji częstochowskiej w okresie okupacji hitlerowskiej...*, s. 152.

²⁷ Archiwum (podręczne) Kurii Metropolitalnej w Częstochowie, Dekanat wieruszowski (brak sygn.). Pismo ks. Stanisława Waclawika do biskupa T. Kubiny z dn. 7 VI 1941 r.

(jedynie 18 księży przeżyło). Wśród zamordowanych w Dachau byli ks. Maksymilian Binkiewicz i ks. Ludwik Gietyngier, ogłoszeni błogosławionymi przez papieża Jana Pawła II w 1999 r. Na 62 parafie i kościoły parafialne Niemcy pozwolili odprawiać nabożeństwa jedynie w świątyni w Rudzie dla wszystkich katolików narodowości polskiej w powiecie wieluńskim. Pracę duszpasterską mogli prowadzić jedynie 2 duchowni – ks. Józef Kubica i ks. Józef Pruchnicki. Katolicy narodowości niemieckiej mieli swoje nabożeństwa w kościele franciszkańskim w Wieluniu²⁸. Kościoły zamieniono na składy zboża, mebli i warsztaty stolarskie.

3. Rys biograficzny ks. Józefa Pruchnickiego²⁹

Urodził się 16 lutego 1894 r. w miasteczku Stopnica, w powiecie Busko, ówczesna gubernia kielecka. Jego rodzicami byli Jan i Maria z d. Wierzbicka. Posiadali oni własne gospodarstwo rolne o powierzchni 5 ha. Ojciec nadto pracował w samorządzie gminnym jako kasjer oraz jako ławnik w miejscowym sądzie. Do szkoły ludowej uczęszczał w rodzinnej miejscowości, a po jej ukończeniu uczył się w progimnazjum rządowym w Pińczowie. Tu ukończył tylko 4 początkowe klasy gimnazjalne, dalej kontynuował naukę w Kielcach, w tamtejszym gimnazjum rządowym. Tak w progimnazjum jak i w gimnazjum nauka odbywała się w języku rosyjskim. Po ukończeniu nauki w szkole średniej w 1912 r. wstąpił do seminarium duchownego w Kielcach. W okresie 5 lat studiował filozofię i teologię. Świecenia kapłańskie przyjął 7 kwietnia 1917 r. w katedrze kieleckiej z rąk biskupa kieleckiego Augustyna Łosińskiego. Od kwietnia 1917 r. do kwietnia 1919 r. pracował jako wikariusz w parafii Miechów. Był to okres zakończenia I wojny światowej, a jednocześnie pierwsze miesiące po odzyskaniu niepodległości przez Polskę. Następnym rokiem przynosi wielkie zagrożenie dla Polski ze strony bolszewickiej Rosji. Wśród obrońców Ojczyzny w wojnie polsko-bolszewickiej stanęli także jako kapelani wojskowi młodzi kapłani, którzy swoją postawą i głoszonym słowem mieli utwierdzać żołnierzy w wierności Ojczyźnie oraz zachęcać do walki w obronie Jej wolności. Na apel polskich władz wojskowych i biskupów ks. J. Pruchnicki zgłosił się do służby wojskowej. Biskup Łosiński zezwolił mu na podjęcie obowiązków kapelana Wojska Polskiego. W Kurii Polowej Wojska Polskiego otrzymał nominację na kapelana partyzanckiego oddziału majora Dąbrowskiego 13 Pułku Ułanów Wileńskich i kapelana w szpitalu wojskowym w Wilnie. Służbę wojskową pełnił do lipca 1921 r. Za odwagę i męstwo podczas toczących się walk frontowych otrzymał

²⁸ J. Związek, *Martyrologium kapłanów diecezji częstochowskiej...*, s. 214–215.

²⁹ Dane biograficzne pochodzą przede wszystkim z „Akt personalne ks. Józefa Pruchnickiego”, przechowywanych w Archiwum Archidiecezji Częstochowskiej w Częstochowie, sygn. III. 76.

odznaczenia wojskowe – Krzyż *Virtuti Militari*, Krzyż Walecznych i Krzyż Niepodległości. Dziekan Generalny Okręgu Lubelskiego w dniu 9 V 1921 r. wystawił mu następującą opinię: „należał do najzdolniejszych, najbardziej utalentowanych kapelanów. Jego nadzwyczajna umiejętność jednania ludzi, łatwość w pożyciu, osobista odwaga, zdolności kaznodziejskie, posłuch rozkazom – nie raz bardzo przykrym – przełożonych, miłość żołnierska zyskiwały księdzu kapelanowi wszędzie ogromne uznanie, a ze strony niżej podpisanego niezatarte uznanie wdzięczności”. Pismem Kurii Biskupiej Wojsk Polskich z 5 VI 1921 r. ks. J. Pruchnicki był bezterminowo urlopowany z Wojska Polskiego.

Przebywając w Wilnie jako kapelan szpitalny jednocześnie podjął studia na Uniwersytecie Wileńskim im. Stefana Batorego. Studiował prawo i nauki społeczne. Jednakże rozpoczętych studiów nie ukończył. Po zawarciu pokoju ryskiego kapelani wracali do pracy duszpasterskiej w macierzystych diecezjach. W lipcu 1921 r. ks. J. Pruchnicki powrócił do diecezji kieleckiej. Biskup Łosiński mianował go prefektem szkolnym w Prywatnych Szkołach Warszawskiego Towarzystwa Kopalni Węgla w Kazimierzu k. Sosnowca. W tych zakładach szkolnych był nie tylko nauczycielem religii, ale także dyrektorem do 1925 r. Stanowisko to powierzył mu zarząd kopalni. Jednocześnie kontynuował wyższe studia na Uniwersytecie Jagiellońskim w Krakowie. W 1925 r. prosił władzę diecezjalną w Kielcach o roczny urlop celem ukończenia studiów. Studia uniwersyteckie ukończył w roku akademickim 1925/1926, uzyskawszy stopień naukowy magistra prawa.

W latach 20. minionego wieku utworzono diecezję częstochowską, do której włączono Zagłębie Dąbrowskie. Pracując przed urlopem na terenie włączonym do nowej diecezji ks. J. Pruchnicki zdecydował się pozostać w diecezji częstochowskiej, zgodnie z postanowieniem bulli erekcyjnej. Został przeto inkardynowany do diecezji częstochowskiej, gdzie biskup Teodor Kubina mianował go sekretarzem – notariuszem w nowo powstającej Kurii Biskupiej. W Częstochowie pełnił również funkcję prefekta szkolnego w Państwowym Gimnazjum im. Romualda Traugutta. Jego poprzednikiem w tej szkole był ks. dr Karol Makowski, którego biskup mianował pierwszym rektorem Częstochowskiego Seminarium Duchownego w Krakowie. Nowy prefekt cieszył się dużym uznaniem i szacunkiem wśród grona nauczycielskiego oraz wśród młodzieży szkolnej. Były to jednak trudne obowiązki, które nie zawsze mógł godzić z pracą w Kurii Biskupiej. Z tych powodów jesienią 1928 r. na własną prośbę uzyskał zwolnienie ze stanowiska notariusza w Kurii Biskupiej, a także z obowiązków prefekta szkolnego w gimnazjum. W dniu 27 X 1928 r. został mianowany proboszczem parafii Mokrsko w dekanacie bolesławieckim. Po wyjeździe do Ameryki ks. Stanisława Łupińskiego, proboszcza parafii Krzyworzeka, biskup zlecił mu 14 II 1930 r.

administrację tej parafii. Ponadto ks. J. Pruchnicki otrzymał od prezesa Sądu Okręgowego w Kaliszu i przewodniczącego Sejmiku Wieluńskiego propozycję pracy w tych instytucjach państwowych, jednak władza kościelna nie wyraziła na to zgody. Autorytet ks. J. Pruchnickiego w środowisku Mokrska był tak duży, że pismem władz szkolnych z 24 IX 1934 r. został mianowany członkiem Dozoru Szkolnego gminy Mokrsko na okres trzech lat. Zaś w dniu 21 XII 1935 r. biskup Kubina wyznaczył go na stanowisko wizytatora nauki religii w szkołach powszechnych w Wójcinie, Skomlinie, Toplinie, Dziętkowicach, Wróblewie i Wicherniku. W parafii Mokrsko prowadził nie tylko pracę duszpasterską, ale brał także czynny udział w życiu społecznym. Był znanym działaczem Obozu Zjednoczenia Narodowego. Pełnił funkcję prezesa Ligi Obrony Powietrznej i Przeciwgazowej, był prezesem i aktywnym działaczem Związku Rezerwistów byłych żołnierzy Wojska Polskiego, działał w miejscowym kole Związku Strzeleckiego³⁰. W parafii zorganizował Akcję Katolicką wraz z jej oddziałami. W miejscowej szkole powszechnej nie tylko uczył religii, ale również troszczył się o zapewnienie szkole jak najlepszych warunków materialnych. Kilka miesięcy przed wybuchem II wojny światowej, 14 I 1939 r. biskup powierzył mu administrację parafii Skomlin, także w dekanacie bolesławieckim. Ks. J. Pruchnicki pełnił obowiązki proboszcza w Mokrsku i administratora w Skomlinie do 6 X 1941 r. Od tego dnia władze okupacyjne skierowały go do pracy duszpasterskiej w Rudzie (o tej pracy pozostawił *Wspomnienia*).

Po zakończeniu okupacji hitlerowskiej, 9 IV 1945 r. biskup Kubina mianował go dziekanem dekanatu wieluńskiego oraz proboszczem parafii wieluńskiej. Z polecenia władzy diecezjalnej został wyznaczony, wraz z biskupem Walentym Dymkiem i przedstawicielem Urzędu Wojewódzkiego w Poznaniu, do pertraktacji w sprawie rewindykacji ksiąg metrykalnych z terenu ziemi wieluńskiej, zrabowanych przez władze hitlerowskie i zmagazynowanych w Oratorium Świętogórskim Księży Oratorianów w Gostyniu. Dzięki temu wiele ksiąg metrykalnych i innych materiałów archiwalnych wówczas odzyskano. W dniu 6 II 1946 r. został mianowany członkiem Komisji Diecezjalnej do spraw Seminarium Duchownego, a także konsulatorem diecezjalnym. Dzień później otrzymał stanowisko sędziego posynodalnego w Sądzie Biskupim w Częstochowie.

W Wieluniu tymczasem, dzięki jego staraniom, wznowiło działalność Gimnazjum Biskupie, które po kilku latach upaństwowiono. Ks. J. Pruchnicki zorganizował w budynkach kościelnych bursę dla biednych uczniów, którzy uczyli się w szkołach średnich w Wieluniu. Jednakże bursa nie była mile widziana przez władze państwowe i dlatego istniały duże trudności w jej prowadzeniu.

³⁰ J. Książek, *W Polsce Odrodzonej (1918–1939)*, [w:] *Monografia gminy Mokrsko*, pod red. T. Olejnika, Wieluń 2004, ss. 274, 288, 315–317, 335.

Następny biskup częstochowski – Zdzisław Goliński – w dniu 9 IX 1951 r. mianował ks. J. Pruchnickiego członkiem Rady Duszpasterskiej przy Kurii Diecezjalnej w Częstochowie. Po utworzeniu kapituły katedralnej został jej kanonikiem gremialnym 5 XI 1951 r.



Ks. Józef Pruchnicki (1894–1963), duszpasterz w Rudzie w okresie okupacji hitlerowskiej, proboszcz i dziekan wieluński, kanonik kapituły katedralnej w Częstochowie

Zmarł nagle 20 X 1963 r. Pochowany został na cmentarzu grzebalnym w Wieluniu.

4. Ks. JÓZEF PRUCHNICKI, Moje wspomnienia z pracy duszpasterskiej na terenie powiatu wieluńskiego od października 1941 r. do stycznia 1945 r.

Wojna zastała mnie na stanowisku proboszcza w Mokrsku. Po zbombardowaniu Wielunia 1 września 1939 r. wybrałem się parą koni i powozem za Wartę, żeby przeczekać ten krótki okres czasu, zanim nasza armia nie uderzy na Berlin. Przejechałem Piotrków, Radom i za Radomiem trzeba się było zatrzymać, bo Niemcy już zagrodzili drogę. Wróciłem do Mokrska 15 września. Zdawało mi się, że stosunek Niemców do Kościoła i duchowieństwa będzie taki, jaki był

Nowy biskup podjął starania dla wznowienia w Wieluniu działalności Gimnazjum Biskupiego, ale w formie niższego seminarium duchownego. Kierownictwo tej instytucji powierzył mu pismem z dnia 4 III 1952 r. To seminarium istniało zaledwie kilka lat, bowiem wystąpiły wówczas duże trudności natury świątopoglądowej oraz materialnej. Jednocześnie stan jego zdrowia ustawicznie się pogarszał, chory wymagał długiego leczenia. Mimo to biskup Goliński, doceniając jego wieloletnie doświadczenia, mianował go 13 VII 1953 r. członkiem Rady Administracyjnej w diecezji. W dniu 2 X 1958 r. został mianowany Rejonowym Duszpasterzem Służby Zdrowia w dekanatach wieluńskim I, wieluńskim II, bolesławieckim, praszowskim i wieruszowskim.

w czasie pierwszej wojny światowej. Niestety, pomyliliśmy się. Pierwsze ograniczenia zaczęły się od zawiadomienia z posterunku żandarmerii, że w niedzielę kościół może być otwarty tylko od godziny 7.00 do godz. 11.00, a w dni powszednie wolno nam odprawiać Mszę św., wyłącznie przy drzwiach zamkniętych, bez obecności ludzi; wyjątek miały stanowić pogrzeby, podczas których żałobnicy mogli być na nabożeństwie. Później nastąpiło odbieranie duchowieństwu ziemi, inwentarza żywego i martwego, mebli oraz usuwanie z plebanii.

Wreszcie 6 października 1941 r. nad ranem aresztowano wszystkich księży w całym tak zwanym Warthegau. Na cały powiat pozostawiono jedynie dwóch – trzech kapłanów³¹. Nocy tej nie spałem w domu, brałem bowiem czynny udział w pracy konspiracyjnej; we wrześniu 1941 r. nastąpiła „wsypa” i zaczęły się aresztowania, co zmusiło mnie kilka nocy przed 6 października spędzić już poza domem. Rano (7 X) dowiedziałem się, że wiozą aresztowanych księży do Wielunia, a około godziny 9.00 przyszedł po mnie żandarm, ale bez broni. Powiedziano mi, że wyjechałem rano kolejką do Wielunia. Polecił, żebym natychmiast po powrocie z Wielunia stawił się na posterunek. Nie wiedziałem co robić – czy uciekać, czy iść na posterunek. Przez ludzi stykających się bliżej z żandarmami zrobiłem wywiad i dowiedziałem się, że nie jestem na liście tych, którzy mają być aresztowani. Poszedłem więc o godz. 4.00 po południu na posterunek. Tam mi zakomunikowano, że nie będę aresztowany, że zostałem przeniesiony do innej miejscowości i mam dnia następnego stawić się na gestapo w Wieluniu po bliższe wyjaśnienia. Zażądano, żebym natychmiast oddał klucze od kościoła, z którego nie wolno mi nic ruszyć. Szef gestapo, Grossman, zapytał mnie czy wiem, że wszyscy księża zostali aresztowani. Wiem – odpowiedziałem. Otóż wy – powiada – i jeszcze jeden duchowny, ks. Kubica z Cieszęcina, zostaniecie jako duszpasterze na cały powiat wieluński, będziecie mieszkać w Rudzie i macie się tu stawić razem w piątek o godz. 10.00. Kiedy już miałem wychodzić, zapytał mnie czy mam (krzyż) „Virtuti militari”. Tak – odpowiedziałem. A za co otrzymaliście? Odpowiedziałem, że w czasie wojny polsko-bolszewickiej w roku 1920, byłem w wojsku i zostałem odznaczony tym krzyżem. Opowiedzcie dokładnie za jakie czyny! Opowiedziałem krótko, a on powiada: „Dobrze, mówicie prawdę, bo ja tu właśnie mam wasze papiery i zgadza się to, coście powiedzieli”. Czy miał, skąd miał, czy też tylko kłamał – nie wiem. Później powiada tak: „Virtuti militari” równa się naszemu krzyżowi żelaznemu i dlatego będziecie mieć u nas pewne przywileje. Wiecie jakie? Nie wiem – odpowiedziałem. Otóż, primo – podczas ewentualnego aresztowania możecie żądać, żeby czynność tę

³¹ Faktycznie w powiecie mogło pozostać najwyżej 2 kapłanów, a zwykle hitlerowcy pozostawiali tylko jednego duszpasterza. Zależało to od uznania kreisleitera i landrata. J. Szyling, *Polityka okupanta hitlerowskiego wobec Kościoła katolickiego...*, s. 260–261.

wykonał nie żołnierz, ale oficer; secundo – gdyby was wsadzili do więzienia, możecie żądać oddzielnej celi; tertio – gdyby was skazali na śmierć, możecie żądać, by przy egzekucji asystował pluton honorowy”. I uśmiechnął się tak, że mi się zimno zrobiło. Wyście byli senatorem – pyta dalej – w którym roku to było? Odpowiadam, że w roku 1935 dostałem się na listę senatorską z województwa łódzkiego jako pierwszy zastępca, a kiedy umarł senator Mańkowski wszedłem wprawdzie automatycznie do senatu, ale się zrzekłem mandatu. Dlaczego? Bo nie zyskałem na to zezwolenia swojego zwierzchnika – biskupa częstochowskiego. A ja słyszałem – powiada – żeście to zrobili dlatego, żeby tam nie zasiadać razem z Żydami. No dobrze, możecie odejść, tylko pamiętać – w piątek o godzinie 10.00.

Opinię antysemitę zrobili mi moi parafianie, podczas wcześniej przeprowadzonego przez żandarmerię wywiadu o mnie. Dla usprawiedliwienia mojej rezygnacji z funkcji senatora, czynu karygodnego w oczach Niemców, mieszkańcy Mokrska powiedzieli, że jestem antysemitą i dlatego zrzekłem się mandatu, ponieważ nie chciałem zasiadać w senacie razem z Żydami.

Komu czy czemu zawdzięczam, że nie zostałem aresztowany – dokładnie nie wiem. Oczywiście wiem, że tak chciał Bóg i tak się stało, ale za czym pośrednictwem Bóg to uczynił – nie wiem. Podobno przyczynił się do tego ks. Drzazga³², który wówczas jako volksdeutsch pracował w landraturze, może i inne okoliczności wpłynęły na to – nie wiem i wiedzieć nie będę. Wiem tylko, że taka była wola Boża.

W oznaczony dzień, na oznaczoną godzinę, stawilem się na gestapo, przybył też i ks. Kubica³³, którego wówczas poznałem. Po krótkiej rozmowie, jaką odbył ks. Kubica z szefem gestapo, wyszliśmy razem na ulicę. Podjechało auto, szef gestapo usiadł przy szoferze, a my z tyłu i pojechaliśmy do Rudy. Po otwarciu kościoła kazał nam zobaczyć wszystko, co jest wewnątrz, sporządzić dokładny inwentarz i dostarczyć mu odpis. Oddał nam klucze i odjechał. Ks. Kubica wyjechał również komunikując, że przeprowadzi się dopiero po Wszystkich Świętych, a ja zostałem, aby szukać mieszkania; w budynku plebańskim był bowiem posterunek żandarmerii, musiałem więc zamieszkać na wsi, z trudem uzyskując jedną izbę.

Wkrótce przeprowadziłem się do Rudy i rozpocząłem pracę. W pierwszą niedzielę na nabożeństwie było niewiele wiernych, nieliczna garstka pozostałych w Rudzie Polaków. Trzeciego czy czwartego dnia zjawił się u mnie żandarm,

³² Ks. Józef Drzazga, ze Zgromadzenia Księży Misjonarzy św. Rodziny, pochodził ze Śląska i jako taki, bez deklaracji z jego strony, został zapisany przez urzędników niemieckich na Reichslistę, a więc nie był volksdeutschem. Bardzo mało o im pozostało wiadomości.

³³ Gestapo wieluńskie uznawało ks. Józefa Kubicę za odpowiedzialnego za duszpasterstwo w Rudzie. Znał język niemiecki, pracował w urzędzie niemieckim w Wieruszowie, pochodził z Pomorza Zachodniego. Był zapisany na Reichslistę.

który zażądał oddania kluczy od kościoła, oświadczając, że klucze muszą być zawsze na posterunku żandarmerii. Jeśli będę chciał wejść do kościoła, każdorazowo mam przyjść po klucze na posterunek. W dni powszednie kwadrans przed siódmą szedłem po klucze. Nieraz wydano mi je zaraz, a nieraz musiałem czekać kwadrans lub pół godziny, nim je otrzymałem. Po Mszy św. klucze musiałem odnieść, a w ciągu dnia, kiedy np. przyjechano po mnie do chorego, znowu trzeba było chodzić na posterunek. Było to bardzo uciążliwe i dlatego postanowiliśmy z ks. Kubicą odprawiać Msze św. w dni powszednie w domu i w domu również przechowywać Najświętszy Sakrament. Po klucze wówczas chodziliśmy tylko w niedziele. W roku 1941 tylko jedną niedzielę kościół był otwarty dla ludzi; przed drugą niedzielą otrzymałem od komisarza gminnego w Wierzchlesie nazwiskiem Stephan zarządzenie, że z powodu szerzącej się w powiecie pryszczycy bydła, kościół się zamyka aż do odwołania. Był to oczywiście pretekst. Komisarz Stephan, volksdeutsch, SS-man, urodzony w Polsce, nienawidził Polaków i bardzo źle się z nimi obchodził. Nie chciał dopuścić do tego, żeby ludzie chodzili do kościoła i skorzystał z kilku przypadków pryszczycy w powiecie, żeby kościół zamknąć.

Taki stan trwał do Świąt Wielkanocnych 1942 r. Dzięki staraniom ks. Kubicy, szef gestapo pozwolił otworzyć kościół na dwa dni Świąt Wielkanocnych. Zawiadomił nas o tym dopiero, zdaje się, w Wielki Piątek. Wiadomość ta naprawdę lotem błyskawicy rozeszła się po powiecie i do kościoła przyszło kilka tysięcy ludzi. Wszyscy byli na czczo i chcieli przystąpić do Spowiedzi i Komunii św. Oczywiście mowy nie było o tym, żebyśmy mogli takie tłumy we dwóch wypowiadać. Skorzystaliśmy więc z przywileju, jaki kapłanowi daje Kościół w nadzwyczajnych wypadkach i udzieliliśmy wszystkim absencji generalnej. Odbywało się to w ten sposób, że po wypełnieniu kościoła po brzegi, wiernym kapłan wygłosił krótkie przemówienie, celem pobudzenia wiernych do żalu serdecznego, potem udzielił ogólnego rozgrzeszenia. Podczas gdy jeden z nas odprawiał Mszę św., drugi udzielał Komunii św. Po Mszy św. wszyscy musieli szybko opuścić kościół, by następna grupa ludzi czekających na cmentarzu mogła wejść do kościoła. I tak powtarzało się 4 razy, bo odprawialiśmy wówczas 4 Msze św. O godz. 11,30 kościół musiał być zamknięty. Można sobie wyobrazić, jak trzeba było się śpieszyć, żeby w tak krótkim czasie załatwić wszystko. Po Świątach Wielkanocnych kościół znowu był nieczynny, aż do czerwca czy lipca. Przyczyna zamknięcia, czyli pryszczycy, dawno się skończyła, ale komisarz Stephan zezwolić na otwarcie kościoła nie chciał. Dopiero dzięki usilnym staraniom ks. Kubicy kościół został otwarty w lecie i odtąd wolno było ludziom w każdą niedzielę przyjeżdżać na Msze św. bez żadnych ograniczeń. Wieść o tym rozeszła się szybko po całym powiecie i w każdą niedzielę przybywały do kościoła ogromne tłumy wozami i pieszo z najdalszych stron powiatu. Było

to coś na wzór pielgrzymek do Częstochowy; w każdą niedzielę jeszcze przed świtem, w półmroku, jak cienie snuły się postacie ludzkie wszystkimi drogami i ścieżkami podążając w kierunku Rudy, tam, gdzie Chrystus w Najświętszym Sakramencie krzepił, podnosił, wzmacniał i lżejszym czynił ciężar krzyża, któryśmy wszyscy dźwigać musieli. Świątynia rudzka nie mogła pomieścić wiernych. Ileż skarg zanoszono do Boga, ile krzyków rozpaczy, ile bólu i smutku, ile łez tam popłynęło – Bóg to jeden wie. Były to przecież czasy ustawicznych łapanek, bo na towar ludzki było wielkie zapotrzebowanie w Niemczech, nikt nie był pewny dnia ani godziny, nikt nie wiedział czy jutro nie wywożą go w nieznaną. Dlatego każdy chciał się pojednać z Bogiem, każdy śpieszył do tej jedynej świątyni w powiecie, żeby się wyspowiadać i przyjąć Komunię św. I cóż mogliśmy my, dwaj kapłani, wobec tych setek ludzi pragnących przystąpić do Spowiedzi. Kościół otwarty od 7.00 do 11.30, w tym czasie trzeba było odprawić 4 Msze św., ochrzcić kilkadziesiąt dzieci, udzielić ślubu zainteresowanym i załatwić rozmaite inne sprawy duszpasterskie. Przy największym wysiłku i pośpiechu mogliśmy wyspowiadać około 500 osób, a reszta? Wierni przychodzili może z odległości 30 lub 40 km, może od kilku lat nie byli u Spowiedzi, a może to będzie już ostatnia Spowiedź w ich życiu. Czyż można było im powiedzieć – przyjdźcie kiedy indziej. Nie zapomnę nigdy, jak pewnej niedzieli zostało mi do Spowiedzi jeszcze około 50 ludzi, a tu już dochodziła 11.20. Zwracam się więc do nich i mówię – moi kochani, już trzeba kościół zamykać, przyjdźcie kiedy indziej. Ujrzałem przerażenie w ich oczach i rozpacz, usłyszałem szloch i głosy – ojciec duchowny, ja tu przyszedłem 30 km, a jutro mają nas wywozić. Gdyby kto miał kamienne serce, wzruszyłby się prośbą tych ludzi. Trzeba więc korzystać z absolucji generalnej. Muszę tu zaznaczyć jedno – przez 27 lat swojej pracy kapłańskiej nigdy nie zaobserwowałem takich zewnętrznych objawów żalu za grzechy, jak w Rudzie, przy udzielaniu ogólnego rozgrzeszenia. Kilka gorących słów zapalało dusze wiernych wielką miłością Boga i doskonałym żalem, szloch i płacz wypełniał kościół, oczyma duszy widziało się, jak Bóg sprawiedliwy zamienia się w miłosiernego Ojca i przebacza winy tym biednym, grzesznym ludziom. Czym była Ruda dla wiernych niech ilustruje wiersz niżej podany, a napisany przez jedną ze stałych uczestniczek nabożeństw w Rudzie, p. Władysławę Winiarską z parafii Osjaków:

Z ł o t a R u d a

Rudo! Tyś nie Rudą, ale Złotą zwać się winna,
Tyś obdarzona szczęściem tak, jak żadna inna
Wioska. W tobie zamieszkał Ten, co włada światem,

W miłości swej stał się nam przyjacielem, bratem.
Prastara świątynio! Tyś z wielu wybrana
Od króla wszystkich ludów i ziem wszystkich Pana.
Kiedy inne świątynie pustką serca ranią,
Tyś dla nas udęczonych najmiłszą przystanią.
Ileż dni i lat przeszło mimo ciebie,
Tych z popiołów przeszłości nikt już nie odgrzebie.
Ileż klęsk, niebezpieczeństw przetrwały te mury,
Wydarzeń, co w oddali straciły kontury,
Ileż pokoleń, stanów składało swe troski
Tu, przed obrazem Maryi, Świętej Matki Boskiej.
Niechaj świadczą z ołtarza czcigodne postacie
Apostołów, biskupów w liturgicznej szacie,
Ileż spojrzeń spoczęło na tej świętej twarzy
Bogurodzicy, która łaską Bożą darzy.
Ileż westchnień przyjęło macierzyńskie serce
Od tych znękanych w długiej życia poniewierce.
Świątynio, która szczęścia tego dostąpiłaś,
Że Jezusa w swych murach zazdrośnie ukryłaś.
Snać przez Maryję ta łaska spłynęła na ciebie
I przez patronów Polski, Jej przyczynców w niebie.
Święty Boże, przybytku, serca utęsknione
I myśli swe zwracamy tam, gdzie Ty, w tę stronę.
A w dzień Pański śpieszymy na trudy gotowi,
By złożyć swoje hołdy wszech wieków Królowi.
O szczęśliwy przybytku, gdzie usta kapłańskie
Odnawiają najświętsze tajemnice Pańskie
I mocą cudotwórczą na wzór Mistrza swego
Chleb życia rozmnażają dla ludu biednego.
Tutaj pokój nadziemski bierze w swe objęcia,
Tutaj Chrystus z czułością matki dla dziecięcia
Mówi o swej dobroci i potrzebie krzyża,
Chwały swej niepomny do duszy się zniża.
O przemiły zakątku świata, arko łaski,
Oazo dla wędrowców wśród pustyni skwarów
Mieścisz w sobie Chleb nieba, dar największych darów.
O szczęśliwy przybytku, w tobie myśli moje
Stosownie do słów, gdzie skarb twój, tam i serce twoje,
Czcigodnyś niby szopka betlejemska mała,
Gdzie dla Jezusa schronienie Maryja obrała.

Zamykając kościoły i aresztując księży, Niemcy sądzili, że uda im się łatwo pozostałych na tym terenie Polaków zniszczyć, wiedzieli bowiem z doświadczenia poprzednich wieków, że na terenach zabranych dawniej Polsce kościoły były twierdzami ducha polskiego. Kaszubi, Ślązacy przetrwali w niewoli tyle lat i umieją po polsku czytać, śpiewać i mówić, ponieważ Kościół katolicki przez świątynie, przez polskich kapłanów utrzymywał tam ducha polskości. Hitlerowcy w całym tzw. Warthegau pozamykali kościoły jakby tytułem próby. Sądzieli, że jeżeli pozostawią w każdym powiecie po jednym kościele, Polacy zastraszeni i zniechęceni odległością przestaną podążać do świątyni Boga. A tymczasem przekonali się, że niewiele to pomogło. Tysiące pieszych i setki furmanek dążyły w każdą niedzielę do tych źródeł, skąd czerpali siły i moc do oporu i wytrwania w polskości. Dziwiło ich to i chcąc zmniejszyć frekwencję na Zielone Świątki 1943 r., wydali rozkaz, żeby do Rudy puszczać tylko pieszych, a jadących furmankami zatrzymywać i zawracać. Ci zaś, którzy bocznymi drogami dostali się do Rudy, musieli zapłacić karę. I tak było aż do końca rządów niemieckich. Nawet z dziećmi do chrztu nie wolno było przyjeżdżać końmi. Jeżeli ktoś przyjechał zaprzęgiem konnym, płacił karę, a konie wraz z woźnicą zabierali żandarmi na kilka godzin do pracy. Twarda i uparta natura polska i to wytrzymała. Nawet szukano sposobów jak przechytryć żandarmów. Najczęściej robiono tak, że zatrzymywano konie kilometr czy dwa od Rudy, gdzie oko żandarmskie nie dosięgnęło, a stamtąd rodzice i chrzestni szli do kościoła pieszo, niosąc dziecko do chrztu na rękach. Żeby zniechęcić tych, którzy przychodzili pieszo, bardzo często legitymowano ich przed bramą kościoła i nakładano karę, a nierzadko zdarzały się wypadki pobicia.

Wszystko to jednak niewiele pomogło. Ponad odległość i ciężar drogi, ponad słońce, śnieg, mróz czy błoto, ponad kary, szykany, ponad ból fizyczny, silniejsza była miłość Boga i miłość Polski. Bo w pojęciu wszystkich pielgrzymujących w niedzielę i święta do Rudy była to nie tylko pielgrzymka dla złożenia hołdu Bogu, ale i ofiara pokutna dla biednej Polski. Była to naprawdę Droga Krzyżowa, a gorliwość wiernych można chyba tylko porównać do gorliwości pierwszych chrześcijan. „Któż nas odłączy od miłości Chrystusowej? Czy utrapienie czy ucisk? Czy głód? Czy nagość? Czy niebezpieczeństwo? Czy prześladowanie? Czy miecz? Jako jest napisane – dla Ciebie mordują nas co dzień, mają za owce skazane na rzeź. Ale w tym wszystkim przezwyciężamy przez Tego, który nas umiłował. Bo jestem pewien, że ani śmierć ani aniołowie, ani księstwa, ani moce, ani terazniejsze rzeczy, ani przyszłe, ani siła, ani co wysokie, ani co niskie, ani żadne stworzenie nie zdoła nas odłączyć od miłości Bożej, która jest w Jezusie Chrystusie, Panu naszym” (Rz.8). Ta potęga wiary i gorącej miłości Boga uzewnętrzniała się w śpiewie. Śpiewać w kościele nie zabroniono nam.

Trzecią Mszę św. odprawialiśmy zawsze z wystawieniem Najświętszego Sakramentu na intencję Polski. Po Mszy św. śpiewano pieśń „Święty Boże, święty mocny, święty a nieśmiertelny”. Trzeba było słyszeć ten śpiew. Nie wiem, czy ktokolwiek z tych, którzy byli wówczas w kościele, chociażby najtwardszy, nie przeżywał wzruszeń, jakie rzadko w życiu się przeżywa. Gdyby można na płytach utrwalić ten śpiew, jakże wiele powiedziała by on nam dzisiaj. Na pewno więcej niż najbardziej płomienne kazanie. Takie były niedziele w Rudzie.

A teraz jak wyglądała praca duszpasterska w terenie? Do właściwego powiatu wieluńskiego Niemcy włączyli duże części powiatu radomszczańskiego, aż po Brzeźnicę, Wiewiec i Sulmierzyce, niedaleko których przebiegała granica pomiędzy Reichem a Generalnym Gubernatorstwem³⁴. Był to obszar duży, liczący 60 parafii³⁵ i 240 tysięcy katolików w roku 1941, kiedy obejmowaliśmy duszpasterstwo na tych terenach. Pozwolono nam jeździć po całym terenie i sprawować posługę duszpasterską, jak chrzty, śluby³⁶, spowiedź, Komunia św., pogrzeby. Ceremonię pogrzebową odbywano tylko w domu zmarłego i na terenie cmentarza, prowadzić zwłoki przez miasto czy wieś nie było wolno. Zabroniono wszelkich czynności w kościołach, nawet wchodzić do wnętrza na modlitwę nie było wolno. Zresztą prawie wszystkie kościoły zamieniono na magazyny zboża i mebli, a w ostatnim roku w wielu kościołach zrobiono koszary dla tych Polaków, którzy pracowali przy okopach.

Postanowiliśmy pracę swoją ułożyć tak, żeby przynajmniej raz w miesiącu dotrzeć do wszystkich parafii. Zachodnią część powiatu wziął ks. Kubica, wschodnią ja. Do parafii położonych w zachodniej części powiatu można było częściowo dojechać koleją Czastary – Wieruszów, dlatego też ks. Kubica jeździł przeważnie koleją i najczęściej wracał do domu tego samego dnia; do dalszych parafii, jak Kraszewice, Czajków i inne, jechał na dwa dni. Natomiast do wschodniej części powiatu można było dojechać tylko końmi i dlatego jadąc na tereny powiatu radomszczańskiego, byłem w drodze prawie cały tydzień. Najtrudniejsze były pierwsze miesiące, kiedy trzeba było pracę organizować, to znaczy wynaleźć ludzi, którzy zajęliby się wyszukaniem odpowiedniego mieszkania i zawiadaniem wiernych danej okolicy o terminie przyjazdu księdza. Tam, gdzie na miejscu pozostali organiści, oni najczęściej zajmowali się tym, jeśli zaś or-

³⁴ Do Kreis Welun włączono także zachodnią część przedwojennego powiatu piotrkowskiego.

³⁵ Faktycznie na tym terenie były przed okupacją hitlerowską 62 parafie katolickie. J. Związek, *Straty diecezji częstochowskiej w okresie okupacji hitlerowskiej...*, s. 327–328.

³⁶ Oficjalnie duszpasterze błogosławili związki małżeńskie tylko w kościele w Rudzie. Warunki określiły władze okupacyjne. Ks. Pruchnicki błogosławił także związki małżeńskie w innych miejscowościach, ale musieli to być bardzo zaufani ludzie. Za takie postępowanie groziły bardzo surowe kary.

ganisty nie było, musieliśmy szukać kogo innego do przygotowania ludzi na przyjazd kapłana. Moje miesięczne wyjazdy na wschód wyglądały w ten sposób – z Rudy wyjeżdżałem w poniedziałek, o godzinie siódmej rano, końmi przysłanymi z Działoszyna (odległość do Działoszyna 22 km). Przyjeżdżałem do tej miejscowości na godzinę dziesiątą i tam już oczekiwali ludzie w wyznaczonym domu. Zależnie od pory roku i pogody, zbierało się 200, 300 lub 400 osób. Natychmiast po przyjeździe siadałem na krzesło i rozpoczynałem spowiedź, która trwała do godziny pierwszej i drugiej, potem chrzty, krótki posiłek i około godziny trzeciej odjazd do Pajęczna. Z Działoszyna do Pajęczna jest 10 km, byłem więc w Pajęcznie około godziny czwartej po południu. Zaraz rozpoczynałem spowiedź, która trwała nieraz do godziny ósmej wieczorem. W Pajęcznie przychodziło zawsze do spowiedzi bardzo dużo ludzi. Po spowiedzi chodziłem do chorych zamieszkałych w mieście do godziny policyjnej. Potem kolacja i krótki sen, gdyż o godzinie szóstej rano już rozpoczynałem spowiedź. W Pajęcznie gościny udzielały mi Siostry NN³⁷, bardzo miłe, bardzo dobre i bardzo gorliwe. One do pewnego stopnia spełniały w parafii pracę duszpasterską, opiekując się chorymi i biednymi, niosąc pociechę smutnym i nieszczęśliwym, a przede wszystkim głęboką pokorą i żarliwą modlitwą upraszały u Boga miłosierdzie i opiekę. W ich skromnym domku przebywał stale Pan Jezus w Najświętszym Sakramencie, przyjmowały Go codziennie w Komunii św. Nikt oprócz Sióstr o tym nie wiedział, bo nie mógł wiedzieć. A w tej izdebce, gdzie ukryty był Pan Jezus w skromnej szafce, paliła się zawsze wieczna lampka, na szafce był zrobiony skromny ołtarzyk z figurą Matki Boskiej. Mieszkańcy Pajęczna i całej parafii często odwiedzali Siostry, ale nie domyślali się, że tak blisko był Ten, bez woli Którego włos z głowy nie spadnie człowiekowi. Na pewno dzięki Jego opiece Pajęczno stosunkowo niewiele w czasie wojny ucierpiało.

Z Pajęczna wyjeżdżałem około godziny dziewiątej. Następna stacja była we wsi Siedlec, należącej do parafii Pajęczno. Tam zatrzymywałem się na dwie – trzy godziny, zależnie od ilości penitentów i chrztów. Z Siedlca jechałem do Wistki, gdzie zbierało się dużo ludzi do spowiedzi, zazwyczaj spowiadałem tam około trzy godziny. Po pracy na obiad zapraszali gościnnie pp. Jaworscy, właściciele sklepu w Wistce. Z Wistki jechałem do Strzelec Wielkich na 2–3 godziny, a stamtąd do Dworszowic Pakoszowych. Do Dworszowic przyjeżdżałem zazwyczaj już w godzinach wieczornych, więc do spowiedzi tego dnia ludzi było niewiele, dopiero na drugi dzień rano było więcej. Trasę z Pajęczna do Dworszowic Kościelnych odbywałem nie zawsze tą samą drogą, od czasu do czasu jecha-

³⁷ W Pajęcznie był dom zakonny Sióstr Westiarek Jezusa (ul. Mickiewicza 39). Siostry prowadziły przedszkole i szyły szaty liturgiczne. Dom powstał w 1929 r. W. Kaczmarek, *Zakony i zgromadzenia zakonne w diecezji częstochowskiej*, „Częstochowskie Studia Teologiczne”, t. 2: 1974, s. 236.

łem z Pajęczna na Makowiska, Dworszowice Kościelne, Brzeźnicę i Strzelce. Jeździłem tam rzadko z tego względu, że Makowiska, Dworszowice Kościelne i Brzeźnica położone są blisko Wąsosz, który należał do Śląska. Między Śląskiem³⁸ a Warthegau granicy nie było. W Wąsoszu pracowało dwóch księży, którzy jeździli do chorych również z pobliskich wiosek powiatu wieluńskiego. Zasadniczo było to wzbronione, ale żandarmi nie zajmowali się tymi sprawami. Proboszcz z Wąsosz ks. Spirra³⁹ przyjeżdżał do Pajęczna prawie zawsze w tym dniu, kiedy ja przyjeżdżałem i pomagał mi spowiadać. Również w każdą niedzielę do Wąsosz przybywało dużo ludzi z sąsiednich parafii z Warthegau. Gestapo dowiedziało się o tym, wydano ostre zarządzenie wzbraniające przechodzenia przez Wartę na Śląsk. Przez pewien czas żandarmi gorliwie nadzorowali przestrzegania tego zakazu, ale z biegiem czasu znowu przez palce patrzyli na to „łamanie” przepisów. Biorąc więc pod uwagę, że te tereny miały blisko kościoł i księdza, omijałem je, obierając trasę inną, położoną dalej od Wąsosz.

W Dworszowicach spowiadałem od szóstej do ósmej rano, a potem odjazd do Górek Zamojskich, stamtąd do Dębowca, dalej do Krzywanic koło Wiewca, a z Krzywanic do Sulmierzyc. W Sulmierzycach rano było bardzo dużo chrztów, natomiast do spowiedzi mniej chętnych. Z Sulmierzyc wyjeżdżałem zazwyczaj wieczorem i przez Stróżę, Ziełecin dążyłem na nocleg do Rząśni. Oczywiście, wszędzie oprócz spowiedzi i chrztów zaopatrywałem po drodze i chorych, jeśli się zgłaszali, a było ich tak dużo, że do Rząśni przyjeżdżałem na godzinę dziesiątą lub jedenastą, a nawet dwunastą w nocy. Przepustki nocnej nie miałem, dostałem ją dopiero w styczniu 1944 roku, więc jeździć po nocy było niebezpiecznie, ale chorym odmówić Ostatnich Sakramentów też nie mogłem, więc poleciwszy się opiece Bożej, często jeździłem po godzinie policyjnej. Nigdy jednak nie natknąłem się ani na żandarmów, ani na niemiecki posterunek. Nie było zresztą w tym nic dziwnego, bo przecież właściwie jeździłem nie ja, ale Pan Jezus ukryty w Najświętszym Sakramencie, czyż więc mogło być inaczej. W Rząśni, tak jak w Pajęcznie, przychodziło do spowiedzi bardzo dużo ludzi.

³⁸ Tu przebiegała granica pomiędzy Gau Oberschlesien a Warthegau. Tę granicę w wielu miejscach przekraczali Polacy. Nie było straży granicznej. Z Warthegau katolicy udawali się do kościołów na nabożeństwa do Wąsosz, Dankowa i Krzepic. Nawet dzieci z Warthegau uczęszczały regularnie na naukę religii przed I Komunią świętą. Kapłani z tych parafii służyli pomocą duszpasterską na przygranicznych terenach tzw. Kraju Warty.

³⁹ Ks. Wincenty Spirra, ur. 31 III 1891 r. na Śląsku, wyświęcony na kapłana w 1915 r., w Wąsoszu był proboszczem od 1930 r. W okresie okupacji hitlerowskiej został wpisany na Reichsliste. Cieszył się dobrą opinią wśród Polaków. W 1945 r. wyjechał z Wąsosz. Zmarł w Branicach 11 VIII 1950 r. i tam został pochowany. Drugim kapłanem w Wąsoszu był ks. Franciszek Bar, eksalezjanin, był wikariuszem, ur. 5 XII 1907 r., święcenia kapłańskie przyjął w 1938 r. Po zakończeniu okupacji pozostał w Wąsoszu jako proboszcz. Zmarł 2 IV 1985 r. Pochowany w Markowej.

Spowiadałem we wsi Brutus w dużej sali, gdzie dawniej była szkoła. Spowiedź trwała od godziny siódmej rano do dwunastej. Tutaj dużą pomocą służył mi p. Wincenty Niemczyk, organista, lubiany i szanowany przez parafian. Należał do tego rzadko na ogół spotykanego typu organistów, którzy całym sercem są oddani Kościołowi i z oddaniem pomagają w pracy parafialnej. Pracy w Rzaśni było bardzo dużo, ale tak organizował ją p. Niemczyk, że wszystko składnie i szybko szło. O godzinie 12.00 wyjeżdżałem do Kiełczygłowa, gdzie młody i energiczny organista p. Suchecki również dobrze przygotował wszystko, a po skończonej posłudze w Kiełczygłowie wyjeżdżałem koło godziny czwartej – piątej do wsi Lipnik w parafii Siemkowice. W Lipniku czekały już dzieci do chrztu św. i ludzie do spowiedzi. Pracowałem do późnego wieczora, a następnego dnia od wschodu słońca. Stamtąd jechałem już w kierunku Rudy, zatrzymując się jeszcze w Siemkowicach i w Bronikowie. Do domu dobijałem w piątek wieczorem. Na podkreślenie zasługuje pomoc, jaką okazywał mi w tej sprawie p. Mohylewski, organista z Siemkowic. Ponieważ poza Działoszynem, Rzaśnią, Kiełczygłowem nie było organistów, jeździł więc ze mną od Pajęczna do Rzaśni p. Mohylewski, na barkach którego spoczywał dział „biurowy” – organizacyjny i komunikacyjny. Wywiązywał się on ze swoich obowiązków zupełnie dobrze, za co mu jestem bardzo wdzięczny. Tak przedstawiały się moje comiesięczne wyjazdy na wschód.

W następnym tygodniu wyjeżdżałem znowu w kierunku Rychłocic, Konopnicy i Osjakowa, nocując w Osjakowie. W tych tygodniach, kiedy nie było wyjazdu terminowego na wschód, wyjeżdżałem codziennie rano do bliższych wsi, według porządku umówionego w każdą niedzielę z ludźmi, którzy zgłaszali się z poszczególnych, bliżej Rudy położonych parafii. Wraciałem wówczas do domu tego samego dnia po południu lub wieczorem. Ciekawą rzeczą jest, jak mnie witali mieszkańcy tych wsi, do których przyjeżdżałem. Otóż, po aresztowaniu księży, zanim zorganizowaliśmy regularne odwiedzanie parafii, upłynęło wiele miesięcy. Do niektórych miejscowości przyjeżdżałem po raz pierwszy dopiero w styczniu, lutym, a nawet w marcu 1942 r. Przez kilka miesięcy katolicy byli pozbawieni zupełnie posług religijnych. Kiedy więc dowiedzieli się, że przyjedzie polski ksiądz, witano go tak, jak chyba nigdy nie witano żadnego biskupa. Były miejscowości, gdzie całą drogę przez wieś wysłano zielenią. Gdzie indziej wystawiano w oknach obrazy i świeczki, dekorowano domy zielenią, ustawiano dzieci szpalerem wzdłuż całej wsi, a z jakim entuzjazmem, radością, szlochom i łzami witano księdza, jak cisnęli się wszyscy, żeby ucałować ręce kapłańskie – tego opisać się nie da – to trzeba było widzieć. Brak przez kilka miesięcy kapłana, który chrzci, jedna z Bogiem przez Spowiedź i rozgrzeszenie, wzmacnia

słabe siły ludzkie chlebem anielskim, odczuli wszyscy i zrozumieli, czym byłoby życie na tym padole bez pociech religijnych.

Oczywiście zdawałem sobie sprawę z konsekwencji, jakie mogą wyniknąć z takich zewnętrznych objawów przywiązania do Boga i do mnie i dlatego prosiłem usilnie wiernych, żeby zaniechali wszelkich owacji i nie narażali siebie i mnie. Jedną z największych naszych bolączek duszpasterskich był brak możliwości przygotowania dzieci do Spowiedzi i Komunii św. Nie mogąc tego zrobić osobiście z braku czasu, prosiliśmy przede wszystkim rodziców, żeby sami uczyli swe pociechy rzeczy najważniejszych. Oprócz tego, w każdej niemal miejscowości znaleźliśmy mniej lub więcej odpowiednią osobę, która podejmowała się przygotować dzieci zbiorowo, oczywiście po kryjomu, bo gdyby o tym dowiedzieli się żandarmi, groził takiej „zbrodniarce lub zbrodniarzowi” obóz⁴⁰. Wreszcie korzystałem przy odwiedzaniu chorych z tego, że zwykle gromadziło się wówczas, oprócz ludzi starszych, dużo dzieci, więc jeżeli nie trzeba było się śpieszyć do następnego chorego czy innych czynności religijnych, przeprowadzałem krótką katechizację dzieci. W ten sposób niemal wszystkie dzieci, aczkolwiek przygotowane nie zawsze wystarczająco, oczekiwały Pierwszej Spowiedzi i Komunii św. Trzeba podkreślić, że chociaż uroczystość ta nie odbywała się nigdzie, poza Rudą, w kościele, a tylko w izbach wiejskich, czasem gdzieś na podwórzu albo w ogrodzie, jednakże zawsze i wszędzie dzieci przychodziły jak najpiękniej ubrane, dziewczynki przeważnie w białych sukienkach, nawet w welonach, i nastrój był zawsze bardzo podniosły i uroczysty.

Dla wszystkich dzieci, które w tych latach przystępowały do Pierwszej Komunii św. dzień ten będzie nie tylko dniem najważniejszym w życiu, ale i niezwykłym ze względu na warunki i okoliczności towarzyszące tej uroczystości. Jaki był stosunek niższych władz niemieckich w powiecie do kapłanów? Żandarmi traktowali nas podejrzliwie, a nawet wrogo. Gestapo nie wydało nam żadnych dokumentów potwierdzających kim jesteśmy i że mamy prawo jeździć po terenie powiatu. Twierdzili, że wszystkie posterunki żandarmerii i komisarze gminni zostali powiadomieni o tym i nie będą nam przeszkadzać. Tymczasem bywało inaczej.

Żandarmi legitymowali mnie często, a kiedy im pokazywałem zwykły Ausweis, żądali więcej dokumentów, np. zezwolenia na jazdę po terenach powiatu i spełniania funkcji religijnych. Ponieważ takich papierów nie miałem, skutki były różne. Raz rozpędzili ludzi, innym razem telefonowali do gestapo w Wieluniu. A było i tak, że pod strażą dwóch żandarmów z karabinami i psa policyjnego

⁴⁰ Pod pojęciem „obóz” powszechnie rozumiano obóz koncentracyjny, ale czasem także miejsce dla polskich robotników przymusowo wywożonych do robót w przemyśle lub rolnictwie w głąb Rzeszy Niemieckiej.

wieziono mnie jak zbrodniarza do najbliższego posterunku i tam trzeba było siedzieć kilka godzin, zanim telefonicznie dowiedzieli się z Wielunia, że mam prawo robić to, co robię. Z komisarzy gminnych jeden komisarz w Sulmierzycach interesował się mną bardzo. Najpierw nie pozwolił mi na terenie swojej gminy nic robić, a kiedy powiedziano mu w Wieluniu, że mam prawo spełniać funkcje religijne, zażądał, abym zanim rozpocznę swoją pracę, przedtem zameldowałem się u niego. Było to bardzo uciążliwe, gdyż z braku lokalu nie zatrzymywałem się w samych Sulmierzycach, tylko w jednej z pobliskich wsi. Z racji konieczności meldowania musiałem jechać najpierw do Sulmierzyc, na co marnowałem nieraz godzinę czasu.

Dnia 29 listopada 1943 r. pojechałem, jak zwykle, do Rychłocic, Konopnicy i Osjakowa. Nocowałem w Osjakowie i 30 listopada o godzinie 7.30 rano rozpocząłem spowiedź w mieszkaniu kościelnego. Około godziny 10.00, kiedy jeszcze zostało do spowiedzi kilkanaście osób, weszli do mieszkania dwaj żandarmi z Osjakowa, z których jeden powiedział do mnie po polsku – kończyć, zabierać swoje rzeczy i pójściecie z nami. Obecnych zaczęli legitymować, jednego pobili, potem wszystkich rozpędzili, a mnie zabrali na posterunek. Tam kazali mi się rozebrać, dokładnie zrewidowali i zaczęło się 5 godzinne badanie z krzykiem, groźbami, ale na szczęście bez bicia. Głównie chodziło im o to, ile zarabiam i na co wydaję pieniądze. Potem oświadczone mi, że jestem aresztowany. Kiedy zapytałem za co, odpowiedziano mi, że dowiem się na gestapo w Wieluniu. Zamknięto mnie w celi przerobionej z chlewa, okna zakratowane, szyb nie było. Przestałem tam, bo nie było na czym siedzieć, do godziny 11.00 w nocy. O jedenastej przyjechali autem gestapowcy z Wielunia, skuli mnie w kajdany wraz z drugim więźniem, Dudkowskim z Bębnowa, i przywieźli na gestapo do Wielunia. Towarzysza mojego wzięto na całonocne badanie, a mnie zaprowadzono do drugiego pokoju, posadzono w rogu i przykuto do kaloryfera; kiedy zacząłem protestować, że przecież jestem skuty w kajdany i ani nie mam zamiaru, ani mogę uciec, gestapowiec powiedział – tu już był taki, co skuty wyskoczył przez okno z drugiego piętra i nie złapaliśmy go. I tak przesiedziałem całą noc, którą urozmaicały mi odwiedziny gestapowca co 15 minut sprawdzającego czy jestem i krzyki bitego przy badaniu Dudkowskiego.

Na drugi dzień rano odwieziono mnie z Dudkowskim do więzienia. W celi dowiedziałem się od współwięźniów, że poprzedniego dnia przywieziono do więzienia 10 osób z okolic Osjakowa, posądzonych o przynależność do A[rmii] K[rajowej]. Zacząłem się domyślać, że i ja zostałem w te sprawę zamieszany. Po 18 dniach siedzenia w więzieniu zostałem zabrany na gestapo na badania i dopiero wówczas dowiedziałem się, o co mnie oskarżono. Mianowicie, zarzucono mi, że należę do organizacji podziemnej i że dałem na tę organizację 13 tysięcy

marek. Zarzut był bardzo poważny. Kto wie, jakby się cała sprawa skończyła, gdyby nie usilne starania pewnych osób o moje zwolnienie. Największą zasługę ma mój kolega ks. Kubica, który użył wszelkich środków i sposobów, żeby oczyścić mnie ze stawianych zarzutów.

Oczywiście, nic by nie pomogły starania życzliwych mi ludzi, gdyby nie Opatrzność Boża, która czuwała nade mną i modlitwy wszystkich niemal wiernych z całego powiatu. Wrażen swoich z pobytu w więzieniu opisywać nie będę, bo niewielu jest Polaków, którzy by za Niemców nie siedzieli w więzieniu i wszyscy wiedzą dobrze, jak traktowano nas w więzieniach. Mając dużo czasu do rozmyślań i obserwując nastroje współtowarzyszy, ułożyłem piosenkę na znaną melodię, która odzwierciedlała mniej więcej stan psychiczny więźniów:

Umrzesz mój bracie w tym lochu smrodliwym,
Choćbyś był wesół i zdrów,
Umrzesz lub zginiesz nim Anglik złośliwy
Przyjdzie otworzyć ten grób.

Umrzesz mój bracie na pryczy więziennej,
Gromnicy nie weźmiesz do rąk,
A potem wrzucą w grób bezimienny
Ciało twe sine od mąk.

Nikt nie odszuka twojej mogiły,
Kwiatów nie rzuci nikt na twój grób,
Wichry ci będą rzewnie nuciły,
A coś wycierpiał, wie to Bóg.

Tak. Śmierć była tak blisko każdego z nas, że chcąc nie chcąc musiało się o niej myśleć, a że się myślało, niech dowodem będzie następujący fakt. W każdą sobotę wszyscy więźniowie musieli być ogoleni. Odbywało się to w ten sposób, że na korytarzu więziennym ustawiano krzesło, wybierano kilku więźniów, którzy musieli golić, z każdej celi kolejno wychodziło po kilku więźniów do golenia. W czasie tej operacji na korytarzu stał strażnik więzienny. Brzytwy były tak straszliwie tępe, że trzeba było mieć dużo cierpliwości, żeby znieść tę bolesną operację.

Otóż kiedy przyszła kolejka na mnie i zasiadłem na krzesło, wszyscy „fryzjerzy” chcieli mnie golić. Jakkolwiek wiedziałem, że mnie znają i wiedzą, kim jestem, zadziwiła mnie jednak ich ochoczość. Kiedy wreszcie jeden z nich zaczął mnie golić, słyszę nad uchem szept: proszę księdza, chciałbym się wyspowiadać. Ze wzruszeniem spojrzałem na niego, łzy zakreśliły mi się w oczach, odpowiedziałem cicho – dobrze, słucham. I zaczęła się spowiedź... spowiedź i golenie; spowiedź, której z ciekawością słuchało chyba całe niebo, bo nie

wiem czy w ciągu wieków istnienia Kościoła odbywała się w takich warunkach. Koniec spowiedzi, rozgrzeszenie i głos: nie, nie mogę golić, ta brzytwa jest tak tępa, że nie bierze, muszę ją naostrzyć, dokończ ty Franuś. I przystępuje drugi, powtarza się to samo. A w następną sobotę brzytwy były tak tępe, a golarze tak nieumiejętni, że musiało aż pięciu pracować, żeby ogolić moją twarz.

Wiadomo, że wieści wśród więźniów rozchodzą się bardzo szybko, zwłaszcza te, które ich interesują. I oto drugi fakt – po podwórzu więziennym odbywa się codziennie dla wszystkich więźniów obowiązkowy spacer; chodzi się w kółko, krokiem albo biegiem, stosownie do komendy strażnika. Rozmawiać oczywiście nie wolno, ale drewniaki, w których chodzą wszyscy więźniowie, robią tyle hałasu, że półgłosem da się dużo powiedzieć i tylko spacer daje więźniom możliwość porozumienia się między sobą. Na spacerze można się było zawsze dowiedzieć, o co pytali przy badaniu na gestapo.

Otóż, na jednym ze spacerów słyszę za sobą głos: proszę księdza czy nie mógłbym się wypowiadać? Dobrze – odpowiedziałem – jak będzie komenda „biegiem”, proszę się przybliżyć i mówić półgłosem. I takich penitentów było dużo. Kto chciał się wypowiadać, manewrował tak przy wyjściu na podwórze, żeby się dostać do koła blisko mnie. Wierzę głęboko, że Opatrzność Boża posłała mnie do więzienia, żeby wypowiadać tych, którzy spowiedzi bardzo potrzebowali. Wiem, że dla wielu z nich była to spowiedź ostatnia. Jaki był stosunek strażników do więźniów? Jeden strażnik był Niemcem, jeden volksdeutschem, a reszta Polacy. Stosunek Polaków do nas był na ogół przychylny. Starali się, o ile to było możliwe, pomagać nam, ułatwiać życie więzienne, nawet podejmowali się przemycać paczki żywnościowe z miasta od rodzin i znajomych. Największą sympatią cieszył się p. Świerczewski, który pracował w kancelarii więziennej. Nazywaliśmy go słonecznym człowiekiem, zawsze uśmiechnięty, pogodny i uczynny, korzystał z każdej okazji, żeby wpaść do więźniów, przynieść im wiadomości ze świata i z miasta, a nierzadko i coś do jedzenia. Pozostawił po sobie jak najlepsze wspomnienia.

Ze współwięźniów, z którymi siedziałem w jednej celi, najżyczliwiej i najserdeczniej ustosunkował się do mnie p. Salamon, nauczyciel z Jaworzna. Od pierwszego dnia zaopiekował się mną, okazał dużo serca i starał się umiejętnie wprowadzić mnie w świat więzienny. Wdzięczność dla niego zachowam w sercu do śmierci.

Po wyjściu z więzienia przyjaciele i znajomi radzili mi i namawiali, aby opuścić teren powiatu wieluńskiego i przenieść się do tzw. Guberni, motywując tym, że będę teraz pod ścisłą obserwacją i byle jaka okazja wystarczy, żeby mnie znowu zaaresztować i wywieźć do obozu. Wyrobiono mi dowód osobisty na inne nazwisko, znaleziono posadę w Piotrkowie i obmyślono cały plan. Walczy-

łem ze sobą długo, z jednej strony – strach przed obozem i śmiercią, a z drugiej – poczucie obowiązku i wstręt przed dezercją. No i pozostałem, i szczęśliwie wytrzymałem do końca. Ostatni rok okupacji był bardzo gorączkowy. Burza zbliżała się do nas coraz bardziej, nad Wartę spędzono ze wszystkich stron tysiące ludzi do kopania olbrzymich rowów przeciwczołgowych i budowania zapór przeciw armii sowieckiej. Domów i baraków nie starczyło dla spędzonych ludzi, zajęto więc kościoły, położone w pobliżu Warty, ustawiono w nich piece żelazne i umieszczono tam pracujących.

Niemcy przekonali się, że wysiłek ich, aby społeczeństwo nasze odsunąć od Boga i Kościoła, spełzył na niczym. Przekonali się, że z serc polskich nie da się wydrzeć wiary w Boga i dlatego, w miarę zbliżającego się niebezpieczeństwa ze Wschodu, gotowi byli zrobić pewne ustępstwa pod względem zarządzania. Z polecenia gauleitera, wezwał nas Kreisleiter zapytując, jakie należałoby otworzyć w powiecie kościoły, żeby ułatwić ludziom odbywanie praktyk religijnych. Wygłosił przy tym do nas coś w rodzaju kazania, wzywając do modlitwy o odwrócenie nieszczęścia, jakie zbliża się ze Wschodu. Słuchaliśmy ze zdumieniem tego przemówienia, podaliśmy nasz projekt, które kościoły należałoby jeszcze uruchomić. Projekt ten natychmiast zaakceptował i polecił szefowi gestapo, żeby opróżnić ze zboża wymienione kościoły. Niestety nie zdążyli tego zrobić. W grudniu 1944 r., na wyraźny rozkaz gauleitera, polecono nam w Święta Bożego Narodzenia objechać ważniejsze ośrodki nad Wartą, odprawić w każdym takim ośrodku Mszę św. i, o dziwo, wygłosić kazania. Dotychczas nie wolno nam było nigdzie, poza Rudą, odprawiać Mszy św., a kazań w ogóle głosić nie było wolno. Wszyscy lagerführerzy otrzymali rozkaz dostarczyć nam lokomotyji konnej, zbudować ołtarze polowe i ułatwić objazd. W gorliwości swojej władze powiatowe posunęły się tak daleko, że kazano nam odprawiać w każdym dniu świąt po 5 – 6 Mszy św. Trzeba im było wyjaśniać, że jest to niemożliwe.

W jeden dzień Świąt ja zostałem w Rudzie, a ks. Kubica wyjechał do okopów, na drugi dzień ks. Kubica został, a ja wyjechałem. Mszę św. odprawiałem w Rychłocicach, Osjakowie i Siemkowicach. Z Rudy wyjechałem o godzinie 5.00 rano (odległość do Rychłocic wynosi 26 km, z Rychłocic do Osjakowa 17 km, z Osjakowa do Siemkowic 12 km). Najwięcej ludzi zebrało się w Osjakowie, ołtarz był ustawiony na rynku, a obok ołtarza w czasie Mszy św. i kazania stało po czterech żandarmów, dwóch z jednej strony i dwóch z drugiej. Można sobie wyobrazić, jak się czułem, mając przy sobie takich „aniołów stróżów” i to tych samych, którzy mnie rok temu aresztowali i przez kilka godzin po swojemu badali. Bardzo liczny udział wiernych, potężny śpiew, szloch i niezwykle podniosły nastrój religijny jeszcze raz przekonał Niemców, jakie skutki odniosły

ich kilkuletnie wysiłki odchrześcijanienia ziem polskich. Taki był mój ostatni wyjazd duszpasterski w teren.

Obraz pracy mojej nie byłby całkowity, gdybym pominął niektóre szczegóły mało ważne, które traktować należy raczej jako wesołe, ale jednak charakterystyczne epizody.

W pierwszych miesiącach okupacji ludzie nie wiedzieli, co myśleć o księżach pozostawionych przez Niemców w powiecie. Krążyły na ten temat rozmaite pogłoski, że jesteśmy przysłani tu z Niemiec czy z Poznańskiego, że jesteśmy volksdeutscheami, o mnie mówiono, że miałem matkę Włoszkę i rozmaite inne przypuszczenia. W każdym razie stosunek ludzi do nas na razie był podejrzliwy, nieufny i bardzo ostrożny. I oto obrazek religijności, a zarazem sprytu chłopskiego. Jadę czy przechodzę w sutannie, drogą spotykam jedną lub kilka kobiet, jakże mnie witają? Podnoszą po hitlerowsku prawą rękę do góry, mówiąc jednocześnie „Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus”. Panu Bogu świeczkę i diabłu ogarek.

Z biegiem czasu i przy bliższym poznaniu się sytuacja ulega zmianie, zaufanie wzrasta, dochodzi do tego, że z niecierpliwością i tęsknotą oczekuje się na przyjazd tego „wędrującego księdza” i traktuje się go nie tylko jako ojca duchownego – szafarza Bożych tajemnic – ale jak kogoś z najbliższej rodziny. I ten właściwie serdeczny stosunek, to ciepło, jakie czuło się wśród wiernych, było zachętą i największą pomocą w znoszeniu trudów i ciężarów pracy. Jednym z zewnętrznych objawów tego stosunku była duża ofiarność. Nigdy od nikogo nie żądałem nic za posługi religijne. Jeśli ktoś pytał, odpowiadałem zawsze „co łaska”. Mimo to, a może właśnie dlatego, ofiarność była tak duża, że mogłem przychodzić z pomocą materialną potrzebującym, biednym rodzinom, chorym, nie tylko na terenie powiatu, ale i tym, którzy musieli uciekać do Generalnego Gubernatorstwa.

To wypełnianie jednego z najbardziej zasadniczych obowiązków każdego katolika było przyczyną do powstania zabawnych legend.

Pewnego razu zawiadomiono mnie, że w odległości dwóch kilometrów od trasy, którą zwykle przejeżdżałem, leży nieuleczalnie chory, którego godziny są już policzone. Pojechałem. Wchodzę do izby. Zaduch straszny, brud nie do opisania, na łóżku nędzarz umierający, wdowiec, a po izbie kręci się pięcioro drobnych dzieci w łachmanach, a raczej półnago. Po zaopatrzeniu go Ostatnimi Sakramentami pytam, cóż to za choroba. Wrzód na żołądku. Lekarz powiedział, że musi umrzeć, bo nie da się leczyć. Zwróciłem się do gromadki kobiet, która się tam zebrała, z prośbą, żeby zajęły się chorym, dziećmi, by zrobiły jaki taki porządek w izbie, a choremu dałem 100 marek polecając, żeby się modlił i zaufał Bogu, bo życie i śmierć jest w rękach Bożych.

Na drugi miesiąc przejeżdżając tą trasą, naumyślnie skręciłem do wioski, żeby zobaczyć, co się dzieje z chorym i jego dziećmi. I cóż się okazało? Po moim odjeździe chory wyzdrowiał, na drugi dzień wstał z łóżka, wziął się do pracy, a za pozostawione mu pieniądze zaczął handlować i po miesiącu już mu się nieźle powodziło. Prawdopodobnie duże wzruszenie wywołało pęknięcie wrzodu, ale ludzie zrobili mnie lekarzem – cudotwórcą.

Zaznaczyć należy, że działo się to w okresie najbardziej beznadziejnym pod względem politycznym. Armia niemiecka odnosiła na wszystkich frontach takie zwycięstwa, iż zdawać się mogło, że nie ma na świecie siły, która by mogła się jej oprzeć. Ludzie zwątpili w ratunek ziemski i zaczęli szukać cudów. Głośna była w owym czasie historia Heleny Pawlickiej, dziewczyny zamieszkałej w okolicach Osjakowa, która często w dzień zasypiała i przez sen głosiła kazania. Chodziły do niej po prostu pielgrzymki, żeby słuchać tych kazań. Władze niemieckie, nie mogąc sobie dać rady, w końcu wywiozły tę dziewczynę do Francji. Innym cudownym rzekomo znakiem było to, że zakwitły dęby. Całe gałęzie łamano, żeby kwiat ten mieć w domach, a zdarzały się wypadki, że do kościoła w Rudzie przynoszono gałązki kwitnącego dębu.

Nic więc dziwnego, że przy takim ogólnym nastawieniu do poszukiwania cudów, wyżej wspomniany wypadek zupełnie naturalny, ale rzadko się trafiający, nabral rozgłosu, no i oczywiście w miarę oddalania i rozszerzania się przybierał rozmiary fantastyczne. Wiadomość ta doszła do Niemców i oto co się dzieje. Byłem pewnego razu w Radoszewicach u chorego. Wracając, musiałem jechać koło plebanii, gdzie znajdował się posterunek żandarmerii. Widzę, że przed domem stoi żandarm, wyciąga rękę i woła „halt”, podchodzi i pyta – „wy jesteście Pruchnicki?”. Tak – odpowiedziałem. No to schodzić na posterunek. Schodzę z przerażeniem, serce wali jak młot, a komendant posterunku pyta znowu – „wasze nazwisko Pruchnicki?”. Tak – odpowiedziałem. Odprowadzić go do Schreiberbera – mówi do żandarma. Schreiber był zarządzającym majątkiem. Mieszkał we dworze, niedaleko plebanii. Idę więc z tym żandarmem, ale nie mam pojęcia, co to będzie, nogi dygocą pode mną, a na domiar złego przypominam sobie, że mam w kieszeni kartkę na mięso, którą dostałem w Radoszewicach; za posiadanie obcej kartki mięsnej wiadomo co groziło. Gorączkowo poszukuję sposobu, żeby kartkę tę zniszczyć, szukam chusteczki do nosa, wyciągam kartkę razem z chusteczką i wycierając nos wkładam ją do ust. Odetchnąłem. Zanim doszedłem do dworu, z apetytem zjadłem kartkę mięsną, i nie powiem, żeby mi nie smakowała. Tymczasem doszliśmy do drzwi, żandarm pokazuje mi, gdzie mam wejść i wraca. Wchodzę, służąca pomaga mi się rozebrać, potem prosi do pokoju; widzę, że stół zastawiony do obiadu. Niemiec podchodzi do mnie, wita się i mówi: zaprosiłem was na obiad, a spostrzegłszy moje zdziwienie, dodaje

– poleciłem żandarmom zaprosić was. Ładne zaproszenie – pomyślałem sobie, ale robię dobrą minę i siadam do stołu. Przy obiedzie dowiaduję się, że Niemiec ów jest poważnie chory i że zaprosił mnie dlatego, żebym mu coś poradził na jego chorobę. Wyjaśniam, że to chyba pomyłka, że ja ani na medycynie się nie znam, ani nie leczę. Nie – powiada – ja wiem, że wy umiecie leczyć i jak będziecie chcieli, to mi możecie pomóc. Bardzo bym chciał, bo słyszałem, że pan jest dobrym człowiekiem i dobrze obchodzi się z Polakami, ale naprawdę nic nie potrafię zrobić. Ja wiem – powiada – że jak będziecie chcieli, to mnie wyleczycie. Cudów robić nie umiem – mówię – mogę się tylko za pana pomodlić. No dobrze – odpowiada – a jak wyzdrowieję, to wam przyślę indora. Na tym rozmowa się skończyła, indora nie doczekałem się nigdy, bo po pewnym czasie Schreiber zmarł.

Jednak jeden raz „wiedza moja lekarska” przydała mi się. W czasie wędrówek moich po powiecie musiałem też myśleć o zdobywaniu środków żywnościowych i jeżeli gdzieś w sklepach pracowali znajomi Polacy, to po kryjomu i zazwyczaj ze strachem zaopatrywali mnie w „towar nielegalny”, dostępny tylko do Niemców. I zdarzyło się tak, że pewnego razu wracając ze Skomlina, byłem zaopatrzone w dość solidne paczki. Dwa kilometry za Skomlinem żandarm, rewizja, pod siedzeniem paczki, dużo rzeczy nielegalnych, a przede wszystkim 8 kg cukru. Naturalna „zbrodnia”, areszt i z powrotem na posterunek w Skomlinie. Komendantem był niejaki Graupatsch, Austriak, zdaje się, że nauczyciel. Jako człowiek dość porządny znał mnie jeszcze z Mokrska, bo przyjeżdżał do tych Niemców, którzy na plebanii kwaterowali. Wprowadziwszy mnie na posterunek, komendant i dwaj żandarmi robią dokładną rewizję paczek, potem badanie, no i protokół. Myślę sobie – więzienie murowane, co najważniejsze wpadną ci, co mi to sprzedali, bo przecież muszę powiedzieć, gdzie kupiłem. Spostrzegam, że komendant posterunku ma jęczmień na oku i w czasie pisania protokołu mówię: pan jest chory na oko, ale to łatwo wyleczyć. Przerzywa pisanie i pyta – jak? Ma pan złotą obrączkę? Mam. Niech pan pociera chore miejsce złotą obrączką co pewien czas. Pokażcie, jak to się robi – mówi. Podchodzę, biorę jego obrączkę i lekko pocieram jęczmień. Musi to pan robić co 15 minut, a po dwóch dniach jęczmień zniknie. Tak, ja słyszałem, że umiecie leczyć. Dobrze, zrobię to, dziękuję. I dalej pisze protokół, ale po chwili wysłał dwóch żandarmów do jakiejś czynności, po ich wyjściu drze protokół, wrzuca do kosza i mówi do mnie – „jedźcie do domu, a na drugi raz bądźcie ostrożniejsi”.

Wreszcie nadszedł 1945 rok. Dnia 18 stycznia w godzinach rannych wszyscy mieszkańcy Rudy otrzymali nakaz, żeby natychmiast opuścili wieś. Trzeba było zostawić wszystko i z walizką uciekać do lasu. Przesiedzieliśmy tam całą noc, a rano nadciągnęły wojska radzieckie i rozpoczęła się krótka bitwa. Po powrocie

do wsi, na podwórzu mego domu, gdzie mieszkałem, leżało kilka trupów żołnierzy niemieckich; izba moja była całkowicie zdemolowana.

W kilka dni potem przenieśliśmy się do Wielunia i wkrótce zakończyłem swoją misję duszpasterza na terenie powiatu, gdyż ksiądz biskup częstochowski w trosce o dobro parafian, pozbawionych przez tyle lat należytej opieki duchowej, zaczął obsadzać parafie młodymi i dzielnymi księżmi.

W każdej modlitwie codziennie dziękuję Bogu za to, że mnie uchronił od śmierci, a stawiając w pierwszym szeregu na froncie walki o dusze ludzkie dodał tyle sił, pomocy i opieki, żem mógł nie tylko wytrwać na posterunku, ale w miarę ludzkich możliwości wypełnić powierzony mi obowiązek jako kapłan i Polak.

Na zakończenie chciałbym zanotować jeszcze jeden zewnętrzny objaw religijności, a zarazem niezachwianej wiary naszego ludu w sprawiedliwość Bożą. Na skutek zarządzenia władz Niemcy zniszczyli na terenie Warthegau wszystkie krzyże przydrożne, figury, kapliczki, a nawet obrazki, wiszące często na drzewach przydrożnych. Sądziłem widocznie, że w ten sposób łatwiej i prędzej odchrześcijanią te „rdzennie niemieckie ziemie”. Jeżdżąc różnymi drogami zauważyłem, że wszyscy gospodarze, którzy mnie wozili, w pewnych miejscach zdejmują czapki; pytam więc – dlaczego zdejmujecie tu czapkę? A bo, proszę ojca duchownego, w tym miejscu stał krzyż, a po chwili dodawali z siłą i zawziętością – będzie stał krzyż.

Tak. Minał Hitler, jak mija wichry, burze, pożar lub mór, a drogi polskie znów zdobi dziś, jak i przed laty i wiekami krzyż, symbol miłości i cierpienia, potwierdzając raz jeszcze tę wieczną prawdę – jak znikome są wszelkie hasła, teorie i zasady oparte jedynie na prawie siły, bez Boga i przeciw Bogu i jak kończą się wraz z ich twórcami.

„Bramy piekielne nie zwyciężą Go”.